

Dziś w numerze: 531 klubów • Gest człowieka • Rozbieg • Kawaler
 różanego krzyża • Najważniejsze jest „okienko” • Tajemnice starego
 gmarzyska • Afryka warowna • Wiersze • Recenzje • Felietony

odgłosy



Nr 9 (423)
 5. III. 1967 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Hubert Kalka — „Marta” — (1964).

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Spacer przez cztery ulice

MILICJI I ORMOWCOM

Zobaczyłem go w tłumie zwykłych, spokojnych ludzi. Nos bokserki, przełamany i krzywy, szramiaste czoło, w ustach peł. Jakby się krył, albo czaił, albo miał czarne sumienie i chciał się zamknąć w ścianie, z którą sklejoną był plecami za wilgotnym występnym muru.

Złe, że patrzyłem tak długo, natężył się — odwrócił się ściągając wzrokiem, prysnął na drugą stronę, brama, mrok, dwa przejścia, dwie różne ulice, dwa tropy zwodnicze, niepewne, i tyle go było...

Ulica po której idę, jedna z czterech w moim rejonie, jedna z czterech, które obchodzę w noc i za dnia, od piętnastu długich lat — to kawał mojego życia; teraz, w sobotni wieczór, jest pusto, auta tylko z cichym szmerem, czasami, po jezdni śliskiej od mżawki, ale gwar miasta przewala się dalej, gdzieś w śródmieściu, ledwo go słychać, jak grom odległej burzy.

Zobaczyłem go wtedy wśród spokojnych ludzi i zrobiłem błąd. Nie trzeba było patrzeć, długo, natężył się. Teraz już bym wiedział jak go złapać, jak wykreślić te złodziejskie rączki, już by nie prysnął w mrok bramy i roztopił się w cień.

Poszedłem do ORMO. Akurat się zmieniali. Wziąłem Czyżewskiego i Piotra. Szukaliśmy całą noc. Wszystkie knajpy, wszystkie zakamarki, na melinie u ciotki Mani byliśmy.

— Nie przychodzi — mówiła. — Od trzech miesięcy.

Od tego włamania do sklepu?

— O tym, to ja nie wiem. — Po oczach widziałem, że łże. Po oczach widziałem, że był, jeszcze wczoraj, złopał wodę i marszczył szramiaste czoło, przechwalał się, cwaniak, że nie wpadnie, że wpadają tylko frajerzy. Ech, żeby mógł go dostać...

Ulica, po której idę; zwykła łódzka ulica, kamieniczki trzypiętrowe, spryskane deszczem, światła w oknach przyćmione, ludzie oglądają telewizję, kobry mają co tydzień, ja też mam swoją kobrę, częściej niż oni, tyle że nie w pokoju, a tu, na ulicy, wśród tych bram pustych i spokojnych. Nie wie nikt. Przypadkowy przechodzień nawet nie spojrzy, jak...

Jak się ten cień oderwał od wystawy. Powoli, niby ktoś, co już napatrzył się dosyć i odchodzi do domu. Podbiegłem tam. Szybko wyrznięta. Nie patrzyłem, co zginęło. Potem okazało się, że niedużo. Cztery litry wódki w półlitrowkach. Wszystko. Ale wtedy nie miałem czasu patrzeć. Podskoczyłem za nim. Wiedziałem gdzie mieszka. Dawno mam na niego oko. Pukam. Matka. Żal mi matki. Stara, stętyczka, prawie głucha. Zagroziła drogę. Odepchnąłem ją, lekko. W pokoju brud, łóżka tylko dwa, nie powleczone, szafa koślawa, przepierzenie na kuchenkę.

Gdzie on?

Udaje, że nie słyszy. Ale oczy ma czujne, niespokojne, gdzieś na dnie czai się strach.

Gdzie on? — powtarzam krzykiem.

Wtedy ona:

Nie wiem, panie dzielnicowy, nie wiem.

Nie — pomyślałem. Przecież to matka. Choćby wiedziała — nie powie. Więc poszedłem zabezpieczyć wystawę, a potem szukaliśmy go w mieście, dwóch ormowców, jeszcze

Dalszy ciąg na str. 4

TERESA
 ZWIERZCHOWSKA

OBYŚ dożył REMONTU

Remont zawsze przychodzi nie w porę. Ktoś właśnie pomalował sobie podłogę, ktoś inny odnowił ściany, albo dużym wysiłkiem finansowym i fizycznym poskładał meble — a i tak przychodzi. Nawet nie zdążył się tym faktem nacieszyć, a już dowiaduje się, że wszystko to na nic, gdyż nadchodzi sądny dzień remontu.

Dla lokatorów domu przy ulicy Radomskiej 6 dzień taki nadszedł właśnie rok temu zimową porą. Ze względów zrozumiałych wybór tej właśnie pory roku nie mógł wpłynąć dodatnio na złagodzenie nastrojów, tym bardziej, że zapowiedziano remont kapitalny, a więc zmiany stropów, podłóg, ścian, jednym słowem kompletną „rozwałkę”. Reakcja była typowa; rozszalała się burza namietności. Członek komitetu domowego — emerytowany pracownik metalurgii, pan Orędownicz przyjął ze spokojem tę fałę protestów. Słusznie tuszy, typowy piknik, ma usposobienie pogodne i nerwy jak postronki. Przyjął na siebie rolę mediatora między Przedsiębiorstwem Robót Budowlanych nr 6 a lokatorami. — Dobry mediator to połowa remontu — takiego zdania jest kierownictwo robót. Jeśli komitet domowy stanie okoniem solidaryzując się z lokatorami, wte-

dy dzieją się rzeczy niedobre. Ot, niedaleko szukać, bo w domu narażonym, o kilka posesji dalej, remont, chwala Bogu, trwa już trzeci rok, gdyż lokatorzy nie chcieli wprowadzać się do baraków w miesiącach zimowych. Nikt na tym nie wygrał, ale też i nie o to chodziło.

Orędownicz, a także reszta członków komitetu domowego posesji nr 6, stanęła na wysokości zadania, przyjmując społeczny punkt widzenia na sprawę. Postawili tylko jeden warunek; Skoro już prowadzi się remont kapitalny, niechże lokatorzy mają z tego jakieś widoczne gołym okiem korzyści. Chodziło o czwarte piętro i strych. Gdy dom stawiano, a stawiano go przeszło 60 lat temu, były gospodarz zaprojektował trzy piętra. Potem jednak przez chytrą przetrwał strych na mieszkaniach, aby zdobyć więcej lokatorów. W ten to sposób mieszkanka na IV piętrze miała sufitu ścięte ukośnie od połowy i małe okienko

okienka tuż nad podłogą. Wolna przestrzeń, jaka została między sufitem a dachem, służyła właśnie jako strych. Wchodziło się tam po chwiejnej drabinie, przyciskając do błota miednicę z mokrą bielizną, wpełzało na kłęczkach i w tejszy pozycji rozwieszało pranie, w dodatku po ciemku, bo nie przewidziano pod dachem instalacji elektrycznej.

Gdyby coś takiego zbudowano w naszych czasach — podniósłby się krzyk wielki, ale tak się dziwnie składa, że wobec starego budownictwa nikt nie zgłasza pretensji. Czas robi swoje, lokatorzy mieszkają tu po czterdziści i więcej lat, przyzwyczaili się więc nawet i do niewygód jako stanu naturalnego i nie tyle strych im doskwierał, co niskie okienka w mieszkaniach.

Pan Orędownicz postawił Przedsiębiorstwu warunek: — Zrobicie, co będzie mogło, aby wszystko poszło gładko, ale podnieście dach. Prace remontowe rozpoczęto jeszcze przed załatwieniem wszystkich formalno-

ci. Najważniejsze było orzeczenie, że fundamenty wytrzymały, a koszt remontu nie przekroczy 70 proc. wartości domu.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie — mówi przysłowie. Lokatorzy poddali się bez buntu torturom remontowym — kierownictwo robót odwzajemniło się więc zrozumieniem ich słusznych żądań.

A wynik? Czwarte piętro jest już prawie gotowe. Prawie, bo jeszcze trwają prace na korytarzu i niższych piętrach. Wapno, gruz, deski, wszystko to trzeba omijać ostrożnie. Chodzić się jak po polu minowym, ale już za progiem mieszkania Walczaków — inny świat. Nie jest to teraz mansarda, lecz zwykły wysoki pokój z kuchnią. Przez czyściutko wymyte okna wlewa się popołudniowe słońce, wypełniając mieszkanek ciepłym, złotawym światłem.

Dalszy ciąg na str. 4



Po raz drugi w krótkim czasie Londyn zwraca uwagę świata politycznego. Tym razem z powodu tygodniowej wizyty min. Rapackiego. Zapoczątkowana w ub. wtorek niemal zbiegła się w czasie ze wznowieniem obrad genezyjskiej konferencji rozbrojeniowej. Ten przypadkowy zbieg okoliczności liczy się jednak i eksponuje rozbrojeniowy aspekt rozmów.

Szef polskiej dyplomacji na lotnisku Heathrow wskazał na dwie grupy zagadnień, które najbardziej interesują obie strony: Europa i stosunki bilateralne.

Europa — tam, przede wszystkim jej bezpieczeństwo. W ciągu półtora roku, które upłynęły od poprzednich rozmów polsko-brytyjskich, wiele zmieniło się na świecie. „Na gorzej i na lepsze” — jak powiedział min. Rapacki. Na gorzej, ponieważ rozwinęła się i pogłębiła agresja amerykańska w Wietnamie, na lepsze, ponieważ gruntuje się przekonanie o potrzebie zapewnienia bezpieczeństwa narodom naszego kontynentu.

Fakt, o czym pisałem w jednym z poprzednich komentarzy, że w rozmowach Kosygin — Wilson na ten temat było dużo zbliżonych poglądów, zapowiedział dobrą aurę i dla dialogu polsko-brytyjskiego, mającego już wieloletnią podstawę.

Oczywiście — nie sposób przed zakończeniem wizyty, a więc i ogłoszeniem komunikatu o rozmowach, pisać o ich wyniku. Dlatego też pozostawiając odczytanie rezultatów dialogu Czytelnikom*) chciałbym podkreślić, że po Francji i Włoszech — W. Brytania jest trzecim zachodnio-europejskim krajem, który wydaje się ostatnio wyrażać zabieg o poprawienie stosunków ze Wschodem.

A teraz przez Kanał La Manche przewędrujemy do Francji, w której trwają przygotowania do wyborów powszechnych. W dwóch turach Francuzi wybierają będą parlament. Kampania wyborcza toczy się głównie wokół problemów wewnętrznych, zwłaszcza dotyczących polityki międzynarodowej. De Gaulle przywiązuje do wyborów wielkie znaczenie, twierdząc, że w głosowaniu rozstrzygną się losy V Republiki.

Będzie jeszcze okazja pisać o tym szczegółowiej — dziś więc odnotujemy nastroje wyborców. Według wyników jednej z ostatnich ankiet 39 proc. zapytanych zamierza oddać swe głosy na gaulistów, 21 proc. na komunistów.

Prasa francuska przyznaje, że wciąż chwieje się tylko te dwie siły. Tylko one wypływają w 1 turze swych reprezentantów we wszystkich okrę-

gach wyborczych kraju. Federacja lewicy demokratycznej wystawia 430 kandydatów, a tzw. centrum demokratyczne — 360. Na liście kandydatów są także przedstawiciele innych formacji politycznych (głównie skrajnej prawicy), ale jak wynika ze wspomnianej ankiety — są to już marginesy.

Stawką w wyborach francuskich jest nie kierunek polityki zewnętrznej, lecz system władzy. Gauliści uprawiają propagandę na rzecz tzw. systemu prezydenckiego, czyli inaczej mówiąc silnej władzy wykonawczej, skupionej całkowicie w rękach prezydenta i oddzielonej od ciała ustawodawczego.

Skoro już mowa o wyborach — prześledźmy się do Indii. Obawy wyrażone w ub. tygodniu co do wyników głosowania — jeśli oprzeć się o wstępne doniesienia agencji — okazały się niezasadne. Wprawdzie rządząca partia — Indyjski Kongres Narodowy zmniejszyła stan posiadania mandatów, jednak zachowała większość, a Indira Gandhi wybrana została w swym okręgu przeważającą ilością głosów.

Frekwencja wyborcza sięgnęła 60 proc., co jak na warunki indyjskie, jest przejawem wysokiego zainteresowania.

W stanie Kerali, tradycyjnie lewicowym, front postępowy, w skład którego wchodzi komunistki, uzyskał absolutną większość w zgromadzeniu stanowym.

Już dziś można powiedzieć, że wynik wyborów nie daje jednak odpowiedzi na nurtujące obserwatorów politycznych pytanie: w jakim kierunku ewoluować będzie polityka zagraniczna Indii.

Czytelnicy naszego stałego przeglądu sytuacji międzynarodowej pamiętają, że dwukrotnie już w bieżącym roku komentowaliśmy wewnętrzny rozwój wydarzeń w Indonezji. Nasze przewidywania w pełni się potwierdziły: presja, jaka wywierano na Sukarno spowodowała, że zrzekł się on władzy na rzecz gen. Suharto, zachowując nominalnie godność prezydenta. O jego dalszych losach zdecydować ma Doradca Zgromadzenia Ludowe, które zbiera się 7 marca. Wtedy też ma zapadnąć decyzja czy Sukarno — w związku z zarzucanym mu udziałem w spisku w 1965 roku — pociągnięty zostanie do odpowiedzialności sądowej.

Agencje donoszą o wprowadzeniu się sił pro i antysukarnowskich — nie wydaje się jednak aby mogło dojść do poważniejszych incydentów. Tak więc zarysowująca się od pewnego czasu przegrana Sukarno staje się faktem. Raz jeszcze musimy powtórzyć, że nie wróty do Indonezji niczego dobrego, chociaż nie upoważnia także Suharto, Malika i spółkę do wyciągania zbyt łatwych wniosków politycznych co do wewnętrznej sytuacji.

W. SŁAWSKI

*) Jednym z konkretnych wyników wizyty jest podpisanie konwencji konsularnej.

Kronika Tygodnia

Minister spraw zagranicznych Indii Chagla wyraził przekonanie, że Stany Zjednoczone przepuściły niezwykłą okazję do przywrócenia pokoju w Wietnamie z chwilą, gdy wznowiły naloży na DRW.

Agencja TASS podała, że władze chińskie zabroniły dyplomatom radzieckim odbycia podróży i złożenia wieńców, z okazji 49 rocznicy powstania Armii Radzieckiej, na grobach żołnierzy radzieckich, którzy zginęli w okresie walk narodu chińskiego go przeciwko Japonii.

Przewodniczący frakcji CDU/CSU w zachodniemieckim Bundestagu, Barzel, oświadczył, iż celem polityki NRF jest zmiana status quo. Musimy to uczynić w świecie — powiedział cynicznie Barzel, który pragnie spokoju i — powiedzmy uczciwie — pragnie mało zmian.

Szef partii albańskiej Enver Hodža zapowiedział zmiany w kierownictwie partyjnym i państwowym Albanii. Zmiany te miałyby nastąpić wkrótce, ponieważ „istnieją odpowiedzialne osobistości, które tkwią od dziesięciu, czy piętnastu lat na tych samych stanowiskach”.

Premier Iranu oświadczył w parlamencie, że rząd tego kraju zakupił ostatnio w Związku Radzieckim broń na sumę 110 milionów dolarów. Spłata została rozłożona na osiem lat.

Korespondenci japońscy w Pekinie przekazali treść ulotki, z której wynika, że Chiny mają zamiar wkrótce wysłać swego pierwszego sztucznego satelitę.

W czasie przyjęcia wydanego na cześć księcia Sihanouka, prezydent de Gaulle wygłosił toast, w którym powiedział m. in.: „Wspólnie dla Kambodży i Francji jest również, a w gruncie rzeczy przede wszystkim, polepienie tragicznego konfliktu, który szaleje u wrót Waszego kraju, oraz przekonanie, że dramat tego nie można zakończyć inaczej, aniżeli poprzez położenie kresu obecnej interwencji, która jest jego powodem i poprzez porozumienie wszystkich zainteresowanych w sprawie przyznania narodowi wietnamskiemu pra-

wa do samodzielnego decydowania o swym losie...”. Książę Sihanouk odpowiedział: „Dzięki Panu Kambo-dża nie przestala wierzyć w Zachód”.

Zachodniemiecki dziennik „Neue Rhein Zeitung” pisze o nieuchronności uznania NRD przez Bonn. „Większość ludności (NRF) — pisze dziennik — wyprzedza pod tym względem myślenie polityków. Dla niej NRD nie stanowi już żadnego problemu prawniczego, lecz jest realnością, a dla porządku pokojowego silnej Europy jest ona czynnikiem,



— Z czasem, być może, usiądziemy wygodnie. (New York Herald Tribune)

którego nie sposób po prostu ignorować — również i przede wszystkim w Bonn. Obecnie przedzie się w kierunku wschodnim więcej, niż kiedykolwiek w niemieckiej historii powojennej. Wzrost takich nitek nie da się jednak zawiązać bez uwzględnienia NRD. Na mapie europejskiej NRF i NRD są dwoma państwami, z których istnieniem trzeba się wzajemnie pogodzić”.

Rzecznik prasowy Departamentu Stanu oświadczył, że zarówno Stany Zjednoczone jak i Związek Radziecki pragną osiągnięcia porozumienia w sprawie strategicznej broni rakietowej, a w tym również w sprawie obrony przeciwrakietowej.

Premier Fidel Castro wystąpił z ostrą krytyką biurokratycznych metod pracy administracji państwowej. Za powódził on zastosowanie sankcji wobec „setek kierowniczych pracowników administracji, których przypuszczalnie usunie się ze stanowisk, obniży się im zarobki i skieruje do innych prac poza administracją”.

Prasa amerykańska ujawniła, iż ponad sto różnych organizacji działających w Stanach Zjednoczonych powiązanych było ze służbą wywiadowczą CIA. Trafnie wyzyskując atmosferę otaczającą CIA w wyniku ujawnienia jej afer, znakomity felietonista amerykański Art Buchwald opisał w jednym ze swych ostatnich felietonów wymagowaną rozmowę agentów CIA z prezydentem Johnsonem. Agencja oferuje prezydentowi pomoc finansową na realizację „wielkiego społeczeństwa” w zamian za wzięcie aktywniejszego udziału w wojnie psychologicznej przeciw komunizmowi oraz za dostarczenie informacji z rozmów z cudzoziemcami do odpowiedniej skrytki w pobliżu pomnika Washingtona.

W komentarzu „Bohaterowie są zanieczeni” belgradzka „Borba” pisze o zjawisku opuszczania szeregow Związku Komunistów Jugosławii. Dziennik stwierdza, że robotnicy w większym

procencie niż inne grupy społeczne opuszczają ZKJ. Wszelkie rozmowy z występującymi z partii dowodzą, że jest to „manifestacja przeciwko biurokracji w szeregach ZKJ”.

Agencje zachodnie podały wiadomość, że Związek Radziecki miał się zwrócić do USA z zamiarem zakupu miniaturowego okrętu podwodnego o obsłudze składającej się z dwóch osób. Zadaniem takich okrętów jest prowadzenie badań na dnie mórz.

Reuter donosi z Turcji o aktywizacji sił lewicowych w tym kraju. Do roku 1960 w Turcji nie było żadnej możliwości jawnego wyrażania poglądów lewicowych. Tłumaczenie, drukowanie lub sprzedawanie „Kapitału” Marksa uważane było za przestępstwo. Obecnie istnieje

16 wydawnictw lewicowych książek, broszur i innych wydawnictw. Wpływy lewicowe szerzą się na uniwersytetach, za pośrednictwem klubów dyskusyjnych. Takie kluby powstają w każdej prowincji.

Jak oświadczył Fidel Castro, powołane przed dwoma laty komisje do walki z biurokracją, których zadaniem było opracowywanie wniosków w sprawie redukcji etatów w poszczególnych zakładach, same uległy biurokratyzowaniu. W związku z tym konieczne było wydelegowanie grup słuchaczy szkół partyjnych do walki z biurokracją w tych komisjach.

Egipski dziennik „Al Ahram” pisze, że stosunki między Kairem i Waszyngtonem w ostatnich latach pogorszyły się do tego stopnia, że „najmniejszy błąd może doprowadzić do sytuacji bez wyjścia”. Zdaniem pisma przyczyną pogorszenia się stosunków między ZRA i USA są następujące: bezwarunkowe poparcie Waszyngtonu dla Izraela, poparcie dla monarchii arabskich oraz ekonomiczny nacisk USA na Egipt.

W Waszyngtonie oczekuje się z ogromnym zainteresowaniem wystąpienia Roberta Kennedy’ego na forum senatu na temat wietnamski. Zdaniem prasy amerykańskiej, Kennedy ostro zaatakował bombardowania DRW oraz surowo skrytykuje administrację za zabawę „w kotka i myszkę” z ofertami pokojowymi Hanoi. Uważa się, iż jednym z ważnych czynników, który skłania Roberta Kennedy’ego do zabrania głosu na ten temat, jest fakt, iż na uniwersytetach i w środowiskach liberalnych jest on coraz częściej krytykowany za swe milczenie w sprawie wietnamskiej.

Przewodniczący jugosłowiańskich związków zawodowych Vukmanović złożył prośbę o zwolnienie go z obowiązku przewodniczącego. Dymisję swą uмотywował on „normalnymi względami wynikającymi z rotacji”.

Cała opinia naszego miasta żywo interesowała się obradami XII Łódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR. I tu już nie chodziło o normalną, ludzką ciekawość — co też tam o nas powiedziano, jak oceniono naszą pracę, choć i te pytania: kto tam, kogo i za co? nie są przecież bez znaczenia.

Wydało mi się, że środowiska twórcze naszego miasta spodziewały się ciepłego pokwitowania swoich wysiłków, a już z pewnością takiego pokwitowania spodziewało się środowisko literackie. Czy miało po temu rację? Chyba tak. Nie trzeba być wyjątkowym znawcą zagadnienia, aby stwierdzić, że właśnie w ostatnich latach, w tak zwanym okresie sprawozdawczym — notujemy spore interesujące osiągnięcia twórczych i sporo dużego wymiaru inicjatyw. Tymczasem gdyby wierzyć laskawemu sprawozdawcy naszej łódzkiej gazety, masowej gazety dodajmy od razu — owo pokwitowanie wypadło nad wyraz żłośnie. Nie nazbyt orientując się w problematyce dziennikarz wybrał z przemówienia przedstawiciela środowisk twórczych kilka zdań, wybrał niechlujnie, przeinaczając i raczej te, które poddają w wątpliwość dorobek twórców.

„W dorobku łódzkich środowisk twórczych nie było w ostatnim okresie osiągnięć, które by zbyt wysoko przekraczały średni poziom”. Jest to zdanie pozornie eleganckie, niejako na wyrost, gdyż w gruncie rzeczy sugeruje szarżę. Szarżę tym bardziej nieuzasadnioną, że, jak podaje ów dziennikarz w następnym zdaniu — nasze miasto stworzyło warsztaty, albo inaczej — bazę techniczną dla twórców. Dlaczegoż tak się źle dzieje? ... powodów należy szukać w niewłaściwych nawykach organizacji partyjnych tych środowisk. POP zbyt często patrzy w przeszłość, a zbyt mało wybiega w przyszłość inspirując w tym właśnie kierunku działalność środowisk twórczych”.

Poliszczyna, logika tego zdania, stanowi zagadnienie samo w sobie, lecz już nie o to chodzi. Laskawy informator podaje masowemu czytelnikowi do wiadomości, że poziom twórczości nie jest zbyt wysoki, za co odpowiadają organizacje partyjne. O ile mi wiadomo, o ile w ogóle wiadomo, żadna siła polityczna nie jest w stanie, nie może zastąpić talentu. Talentu nie przybywa, jak nie jeden raz wykazała praktyka, wraz ze stanowiskiem; pisze się bez sensu nie dlatego, że się jest dziennikarzem w masowym piśmie, lecz dlatego, że talentu brak.

Organizacje partyjne nie sprzedają talentu, mogą natomiast i powinny dbać, aby kierować talentem na odpowiednią drogę, wiązać je z socjalistycznym rozwojem naszego kraju. Czyżby tego nie robiły?

Nasz laskawca pisze: „Łódzcy twórcy ściśle zwią-

zani są ze swoim miastem, z jego codziennymi sprawami, utrzymują stały kontakt z odbiorcami, wychodząc naprzeciw ich problemom”.

Jak więc państwo widzą wystarczająco naszemu sprawozdawcy kilka zdań, żeby doprowadzić tekst do takiej sprzeczności, że cała notatka traci sens. No, bo atakując organizacje partyjne, stwierdza jednocześnie, że w naszych środowiskach twórczych nie znalazły „sprzyjającej atmosfery niektórych sprzecznych z linią partii poglądów i stanowisk”, że są związane, wychodzą naprzeciw itp.

Jest więc źle, ponieważ jest bardzo dobrze i jest kławo, ponieważ kławo nie jest.

Wydało się, że z tego rodzaju „streszczeniami”, ową mieszaniną kłopskiego krawiectwa z brakiem logiki, należałoby raczej skończyć, zwłaszcza tam, gdzie idzie o wydarzenie wielkiej miary i ocenę skomplikowanego trudu wielu twórców. Jest to trud, który w ostatnich latach przyniósł poważne owoce. Wystarczy policzyć nagrody naszych artystów i ich ogólnopolskie i międzynarodowe sukcesy, wystarczy przypomnieć sobie wysoko notowany dorobek Wytwórn Filmów Oświatowych, wyraźny wzrost poziomu naszych teatrów, czy też opery. Przez skromność na końcu kilka słów o pisarzach. Właśnie w ostatnich latach nasi prozaicy i poeci uzyskali szereg nagród i wyróżnień krajowego wymiaru, są tłumaczeni na obce języki, zasilają film, ich książki wypadają dobrze w wielkich plebiscytach czytelników, gdzie zestawia się przecież nie najgorszych, ale czołowych pisarzy krajowych i zagranicznych. Właśnie od zeszłego roku Łódź staje się miastem dorocznych i ogólnokrajowych Festiwalu Poezji, a wcale nie mała grupa pisarzy notowana jest w prasie literackiej naszego kraju na równi z innymi. Jeżeli więc atakować poziom rzadko przekraczający przeciętność, to chyba nie wyłącznie łódzki, lecz krajowy, gdyż łódzka czołówka twórcza tak bardzo od reszty nie odbiega.

Zabawa jest przy tym to, że przedstawiciel artystów łódzkich w swoim interesującym przemówieniu wszystkie te sprawy widział i omówił, ale przemawiał tylko do delegatów na XII Konferencję, i niewielki fragment zamieścił w „Odgłosach”. Fragment zresztą sprzeczny ze „streszczeniem” naszego laskawego sprawozdawcy, obsługującego czytelnika masowego. Ja wiem co nasz sprawozdawca, wyraźnie dezinformujący szeroka opinię o realnych przebiegach, sprawozdanych osiągnięciach łódzkich środowisk twórczych, powie: — nie miałem miejsca, panowie, szef nie dał. Nie mogąc więc poinformować solidnie i dobrze, poinformowałem chociaż źle. Żle, czy dobrze — nieważne, grunt, żeby o nas mówili, nie?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

531 KLUBÓW

Pierwsze Kluby Prasy i Książki w najmniejszych miejscowościach kraju powstały samorzutnie: w starych, opuszczonych kuźniach, w lokalach po martwych świetlicach. Ten zdrowy odruch społeczny wykorzystano przedsiębiorstwo „Ruch” inicjując akcję otwierania placówek kulturalnych we wszystkich gromadach i powiatach. Kluby powstały jak grzyby po deszczu. Po kilku miesiącach liczyły się już na setki, po kilkunastu miesiącach na tysiące.

Kluby „Ruchu” są dziś poważną i wartościową pozycją w bilansie kulturalnym Polski Ludowej, przyczyniły się do aktywizacji najbardziej kulturalnie zaniedbanych regionów, mają duże doświadczenia w pracy społecznej, rozbudziły nowe ambicje. Kluby Prasy i Książki „Ruch” liczą się poważnie także na mapie kulturalnej województwa łódzkiego. Jest ich obecnie 531.

Reporterzy „Odgłosów” odbyli błyskawiczny i nie zapowiadany rajd do trzech miejscowości naszego regionu, aby wypić szklankę kawy made in „Ruch”. Kawa, jak wiadomo, sprzyja spotkaniom i rozmowom. Rezultatem tych spotkań są trzy relacje, które prezentujemy niżej.

Klub Prasy i Książki „Ruch” w Kamieńsku był dokładnie setną placówką kulturalną tego typu w województwie łódzkim. Również trzy lata temu uroczyste przecięto węgłem w drzwiach wiodących do dwóch pokoi klubowych i nowy ambasador prasy i książki zaczął swoją pracę. Uroczystościom podobnym towarzyszy zazwyczaj bicie w wielkie dzwony, toteż mieszkańcy Kamieńska, którzy już na kilka godzin przed otwarciem klubu zgromadzili się w pobliskiej sali straży pożarnej, ze zdumieniem spojrzeli, może pierwszą w tej miejscowości, wystawę obrazów, sprowadzoną z Łodzi na inaugurację działalności.

Rozwój Klubów Prasy i Książki „Ruch” przedstawia się następująco:

Rok	Ilość uruchomionych klubów
1963	56
1964	344
1965	108
1966	19

Od spełnienia toastów za pomyślność klubu upłynął już okres czasu wystarczająco długi, aby zorientować się w rzeczywistych możliwościach terenowego emisariusza kultury. Pani Helena Dukowicz, czwarta z kolei kierowniczka placówki, przedkłada reporterowi grubą księgę zapisaną lakonicznie zredagowanymi informacjami. Księga nosi zachęcający tytuł: „Kronika działalności klubowej”.

Przed laty miałem zaszczyt spełniać w nowo otwartym klubie jeden z toastów, domyślać się więc, że przejrzałem starannie przedłożoną mi księgę nie tylko z reporterskiego obowiązku. Powiem krótko: byłem rozczarowany. Przyjemnie rozczarowany. Działalność klubu nie ogranicza się do sprzązania ciastek, słodczy i „Przyjaciółki”, a więc do modelu, jaki sobie niegdyś wykoncypowałem w moim antyterenowym sceptycyzmie.

W kronice odnotowano spotkania autorskie takich pisarzy jak Michał Rusinek, Władysław Rymkiewicz czy Wiesław Jażdżyński, ale choć jestem przyjaacielem literatury, przyznać muszę, że jeszcze bardziej ucieszyły mnie informacje skromniejsze, o inicjatywach już całkowicie rodzimego wy-

Rozmieszczenie ilościowe klubów w poszczególnych powiatach:

Ilość uruchomionych klubów	Nazwa powiatu (lub powiatów)
45	Kutno
42	Lask
40	Piotrków
39	Lowicz
35	Sieradz
36	Łódź
34	Wieluń
30	Podębice i Radomsko
26	Brzeziny
20	Leczyca i Rawa
18	Mazowiecka
11	Śkierniewice
	Bełchatów i Wieruszów

UWAGA: Z wyjątkiem Łodzi w tabelce podaje się łączną ilość uruchomionych klubów w danym mieście i jego powiecie. W samej Łodzi czynnych jest 39 klubów, a ponad 20 — w miastach wydzielonych: Fabianicach, Piotrkowie Trybunalskim, Tomaszowie Mazowieckim, Zduńskiej Woli i Zgierzu.

legu. Tak na przykład miejscowa bibliotekarka, pani Smolińska, przy pomocy dzieci szkolnych przygotowała wieczory poświęcone twórczości Dąbrowskiej, Brzechwy, Amicisa, Sienkiewicza. Miejscowi nauczyciele wygłosili cały cykl odczytów poświęconych problemom terenowym, miejscowy agronom miał interesujące prelekcje o sprawach rolnictwa. Klub umiał trafić w zainteresowania młodzieży, rolników, urzędników, nie więc

Warunki lokalowe klubów:

Ilość izb zajmowanych przez klub	Liczba klubów
1	297
2	137
3	33

dziwnego, że za każdą z tych inicjatyw stoją astronomicznie, jak na łódzkie możliwości, wysokie liczby dotyczące udziału słuchaczy, przekraczające niejednemu raz setkę, a niekiedy bliskie nawet trzem takim setkom.

W klubie znalazło schronienie kółko filatelistyczne i po powodzeniach inscenizacyjnych prezentacji twórczości Brzechwy i Amicisa myśli się poważnie o zorganizowaniu kółka recytatorskiego. Prezentacja twórczości pisarzy otrzymała więc już w najbliższym czasie jeszcze staranniejszą oprawę.

Wykształcenie gospodarzy przedstawia się następująco:

Liczba gospodarzy	Posiadane wykształcenie
458	podstawowe
16	średnie
36	średnie niepełne
24	zawodowe
6	zawodowe niepełne
2	wyższe niepełne

Są oczywiście i mankamenty. Klub nie otrzymuje na przykład ani jednego egzemplarza „Kultury” i „Polityki”, nie mówiąc już o „Twórczości”, „Dialogu” czy „Miesięczniku Literackim”, sprzedaje się natomiast spod łady stalemu odbiorcy „Życie Literackie” i „Odgłosy”. W klubie sprzedaje się najwięcej tygodników kobiecych i pism magazynowych, trudna jest natomiast droga do czytelnika periodyków poważniejszych. Kierowniczka skarży się także na konkurencję miejscowej gospody, przedstawiając liczby dotyczące wypitej w klubie kawy, które rzeczywiście nie są zbyt imponujące. Ale czy rozmach kulturalny można mierzyć liczbą szklanek wypitej kawy?

Bardziej niepokojąca wydaje mi się obojętność tzw. rady klubowej, na której czele notabene stoi miejscowy urzędnik rady narodowej. Efektom tej obojętności są poniszone stoły, krzesła, połamane popielniczki. Sprzęt został zniszczony w czasie seansów telewizyjnych, kiedy w klubie jest ciemno, a zresztą kierowniczka placówki i bufetowa w jednej osobie, nie jest w stanie przypilnować wszystkiego w dwóch przegrodzonych przeciętą ścianą pomieszczeniach, pamiętając jednocześnie o włączonym telewizorze, o tym, że kipi gotująca się woda, i że trzeba pilnować kasy. Dbałość o sprzęt jest minimum tego, co możemy wymagać od rady społecznej, ale niestety, ostateczna rada nie potrafiła się zdobyć nawet na to minimum. Może to, oczywiście, przeszkodzić placówce w zajęciu punktownego miejsca w konkurencji na najlepszy klub, choć, oczywiście, nie przekreśli tego, co w moim odczuciu liczy się najbardziej: aktywizacji terenowej inteligencji.

Tylko 57 mężczyzn pracuje na stanowiskach gospodarzy klubów. Reszta — to kobiety. Tak przedstawia się wiek gospodarzy klubów:

Wiek	Liczba pracowników
18—20	128
20—30	143
30—40	115
ponad 40	118

Udziału w pracach klubu działacze kulturalni nie zastąpi ani najlepszy telewizor z największym ekranem, ani wielkie obroty handlowe, ani też przyjazdy od czasu do czasu wojewódzkich sław. Klub w Kamieńsku poszedł drogą najbardziej ambitną, przyciągając w orbitę swojej działalności pracowników kultury i oświaty, którzy w tej maleńkiej miejscowości przy szlaku kolejowym Śląsk — Warszawa stali się pełnowartościowymi producentami dóbr kulturalnych. Chodzi nie tylko o to, aby ten stan utrzymać. Chodzi przede wszystkim o to, aby ten krag działaczy kultury rozszerzyć. J.D.

Małe miasteczko położone niedaleko Łasku: Zelów. Około 8.000 mieszkańców; trzy szkoły średnie: liceum, Zasadnicza Szkoła Mechanizacji Rolnictwa i przyzakładowa Szkoła Włókiennicza; cztery zakłady pracy: Żelazniaki Zakłady Przemysłu Bawełnianego, Rozlewnia Wód Gazowych, masarnia i cegielnia. Sporo kobiet dojeżdża do Łasku — pracują w „Wólczanie”.

Zelów. Jedno kino czynne przez dwa dni w tygodniu, niedozowna w każdym małym miasteczku i na wsi „Gospoda” oraz istniejący od jesieni roku 1964 Klub Książki i Prasy. Oto, gdzie mogą się wybrać spragnieni rozrywki kulturalnej lub towarzyskiej mieszkańcy Zelowa. Domatorzy wolą spędzać wolne chwile przed własnym od-

Łączna ilość imprez zorganizowanych w klubach w poszczególnych latach (były to spotkania autorskie, odczyty, prelekcje, wieczory poezji i muzyki, wieczorki towarzyskie, „zgaduj-zgadule” itp.):

1964 — 1721
1965 — 6066
1966 — 7235

biornikiem telewizyjnym. Jest ich dość dużo — jadąc autem naliczyłam 47 anten telewizyjnych, ale to tylko część. Było ich zbyt wiele, po prostu zgubiłam się w rachubie.

Zelowska „klubokawiarnia” wygląda bardzo przyjemnie. Zajmuje dwie salki. Jedną — maleńką, w której mieści się bufet oraz stoisko z gazetami i książkami. — i druga, znacznie większa, o typowo kawiarnianym wyglądzie. Miło tutaj. Jedną ze ścian w całości zakrywa uszyta z estetycznego kretonu zasłona. Nowoczesne stoliki i krzesła wydają zachęcająco w tym nagrzanym i przytulnym lokaliku. Na okragłym stojaku wiszą uszytowane drewnianymi uchwytnymi gazetki: „Głos Robotniczy”, „Dookoła Świata”, „Przyjaciółka”, „Nasz Klub”, „Filipinka”, „Zarzewie”, „Chłopska Droga”, „Przysposobienie Rolnicze”, „Zielony Sztandar”. Jest nawet „Polityka”, ale — jak informuje mnie kierowniczka klubu — dopiero pierwsza w tym roku. Jakiś długowłosy, kędzierzawy blond młodziś w krasiastym wdzianku sięga do stojaka i po chwili wahania wybiera właśnie „Politykę”. A potem siedzi zadowolony w lekturze i — odtąd jego ekscytujący wygląd wydaje mi się całkiem sympatyczny.

— Z tymi gazetami, to mamy straszny kłopot — skarży się do mnie kierowniczka.

— Tyle razy prosiłam, żeby nie przysyłali mi gazet przeznaczonych dla wsi. Nie chcą tego tutaj czytać. Bo i po co? Jak się nie ma ziemi i gospodarstwa, to co kogo obchodzi. Jakże nawozić najlepsze, jak się świnie hoduje? Ale na nie proszę. Jak groch o ścianie. I wisi to tutaj całkiem niepotrzebnie. Nikt tego nie czyta. Prosiłam mnie ludzie o „Motor”, „Kobieta i Życie”, o jakąś prasę kulturalną. Prosiłam i ja w „Ruchu”, ale bez skutku.

Nie są to jednak jedyne kłopoty z prasą mojej rozmówczyni. Klub otwiera się po południu. Kto chce kupić gazetę, ten raczej pójdzie do kiosku, a jeśli już zajrzy do klubu, to raczej przeczyta państwowa. Bywa więc i tak, że kierowniczka sama kupuje te dwa, trzy „Głosy Robotnicze”, które jej zostają z pięciu przysyłanych, żeby nie mieć kłopotu ze zwrotami.

Do klubu przychodzi prawie wyłącznie młodzież. Wśród nich jest chyba z dwudziestu stałych bywalców klubowych. Przychodzą, czytają, albo pogadują przy butelce oranżady (kawe pija się tu rzadko — „do stanie taki plątko od rodziców, to i nie ma się z czym rzucić” — mówi kierowniczka), grają w warcaby, w szachy, w brydża. Czasem przyniesie ktoś płyty, to posłuchają muzyki z klubowego adapteru. Ale potańczyć

Sprzedaż prasy w klubach przedstawia się następująco:

Rok	Ogólna ilość sprzedanych egzemplarzy	Ilość sprzedanych dzienników	Ilość sprzedanych czasopism	Przeciętna sprzedaż dzienna	
				wszystkich klubów	jednego klubu
1965	2.850.000	1.874.000	1.076.000	26.000	52
1966	3.214.658	2.009.560	1.205.098	28.450	54

nie można. Bo kawiarnia mieści się na piętrze w starym zakładowym pomieszczeniu, a podłoga jest bardzo cienka. Kiedyś próbowali — tynk posypał się na bibliotekę zakładową na dole i odtąd nie ma już potańcówek. — Szkoda — mówi kierowniczka. — Zabawiliby się młodzi trochę... Zał mi im odmawiać. Ale — nie wolno, i co zrobić?

W ogóle kierowniczka zadowolona jest ze „swoich” młodych. — Nie było tu jeszcze ani jednej awantury, żadnych chuligańskich wybryków — mówi. Trochę nie podoba jej się tylko, że nawet i panienki tyle pała. A i nosa zadzierają niektóre. — Nie ukloni się taka, nie powie „dziękuję”, „dziękuję”. Za to chłoniaki — bardzo mile.

Czasami wpadnie do klubu ktoś z naucelem, żeby popatrzeć, jak tam zachowują się wychowankowie. I — jak dotąd — nie było jeszcze powodów do niezadowolenia.

— Martwi mnie tylko telewizor — mówi kierowniczka. Mam nadzieję, chyba 17-calowy i popuścił się. Zawieźliśmy do reperacji i kilka miesięcy już go nie ma. Podobno nie można dostać części zamiennych.

— Z jednego względu, to i lepiej — zwierza się. Bo jak grał, to ciągle były problemy: część ludzi chciała oglądać, inni nie i denerwowali się, gdy im światło gasiło. Tak to już jest — wszystkim się nie dogodzi.

— Z książkami też nie najlepiej. Mogłoby przysłać więcej lektur szkolnych, to bym na pewno sprzedała, bo pytają. A tak — przysłał jakieśkolwiek i nie idą mi. Chyba, że ktoś przysłał. Była tu niedawno jakaś pani z Zielonej Góry, kupiła książkę za 180 zł. Mówiła, że nigdzie nie mogła ich dostać, a w takiej „dziurze” znalazła.

Ale słowo „dziura” ma już dzisiaj zupełnie inny wydźwięk niż przed latami. Jeśli siedzi się w kawiarni, naprawdę trudno zorientować się, że to taka prowincja. Młodzi ubierają się i modnie, i ładnie, dyskutują zawiście o filmach, aktorach, o różnych swoich sprawach. Ktoś dowodzi, że warto by urządzić tutaj wystawę malar-

stwa i grafiki (rzecz jasna — z reprodukcji), to byłoby i ładnie, i ciekawie. Kilka osób czyta. A przy trzech stolikach przysiadają parę zakochanych. Nie trzeba lazić po błotnistych ulicach w ten wilgotny zimowy wieczór. Można zaprosić wybrankę na szklanek oranżady, kawę, lub jeśli fantazja dopisuje — chociażby lizaka.

Siedziałam tak w klubie przez trzy godziny. I zrozumiałam, dlaczego kierowniczka mimo kłopotów, lubi swoją pracę. Dlaczego z matczyną troskliwością i życzliwością patrzy na młodych, którzy wołali przysiąść tutaj, niż — jak niektórzy z ich ojców — wpaść „na jednego” do żelazskiej „Gospody”. E. S.

Grocholic — to spora wieś w powiecie bełchatowskim. Niedawno przeczytałam w gazecie, że to nawet wieś zamieszkała (tak właśnie pisało), bo jest tam jakaś fabryczka samodzielników...

Ale nie tylko fabryczka. W Grocholicach są jeszcze tzw. instytucje kulturalne: szkoła, biblioteka, orkiestra straży pożarnej — szczególnie powód do dumy, gdyż nie każda wioska ma remizę i nie każda remiza — orkiestrę; kino czynne trzy razy w tygodniu, a także klubokawiarnia.

Klubokawiarnia grocholińska powstała w roku 1964. Składa się z trzech salek. W pierwszej jest kiosk, gdzie można kupić gazetę i książki oraz inne przedmioty codziennego użytku, mydło, wodę kolońską, pastę do zębów itp.; gdyby ktoś chciał, może tu zamówić małą kawę, ale lepiej idą ciastka i cukierki.

W drugiej salce są stoliki do czytania i radio do słuchania. Jeśli ktoś chce, to gra przy tych stolikach w warcaby, albo nawet w karty, a kiedy radio mu przeskadza — to je gasi.

W trzeciej salce jest zimno. Trzecia salka jest od roku nieczynna. Trzecia salka zdobi telewizor, niewielki, starego typu, ale przyjemny w wyglądzie... tyle, że nie gra.

Krótką historią tej maszyny łączą się z krótką historią wziętości i upadków klubokawiarni w Grocholicach. Więc posłuchajcie:

Telewizor, w którym dłużej dużo przypadekowych rak, jest zawsze przedmiotem kapyśmym. Fakt. To wysłanie wizji, a to fonia, a to znowu wszystko naraz... W telewizorze grocholicim dłużej dużo przypadekowych rak, bo nie było komu przypilnować graj-maszyny. Kierowniczka klubokawiarni, ob. Jabłońska, była w stanie napalić w trzech piecach i sprzątnąć trzy salki przed otwarciem lokalu — nie była natomiast w stanie rozdzielić się, tzn. sprzedawać prasę i pastę do zębów w pierwszej salce, strzegąc jednocześnie skarbu w sali trzeciej. No, tośmy już sobie jedną rzecz ustalili: w klubokawiarni grocholiczkiej potrzebny jest ktoś do pomocy kierownicze: inaczej nie tylko telewizor uciepiał, ale jeszcze, co nie daj Bóg, chłopaki zaczęli grać w oko na forsy, popijać wino albo dewastować stoliki (już się to stało).

A teraz — medala strona druga: Psuajacy się telewizor jeździł na zabiegi do Piotrkowa. Rok temu, kiedy zepsuł się któryś raz z rzędu, mieszkający Grocholiczka złożyli dobrowolną składkę, po pięć, dziesięć złotych od głowy, i wysłali go na kolejną kurację. W Piotrkowie, tuż po naprawie, obraz kontrolny był. W Grocholicach, tuż po włączeniu do sieci, też był. Pięć minut. Potem rozwiął się jak sen jakiś złoty... No i co? I nie. Ludzie powiadają, że ci w Piotrkowie zreperowali może telewizor,

gdyby im dać (dyskretnie) pięćset złotych do ręki, z funduszu bezosobowego. Ale ludzie, przynajmniej ci z Grocholic, nie mają zaufania do takich machinacji. I słusznie. Rok temu, kiedy zamilkł telewizor i zbladły wszelkie nadzieje na solidną naprawę, klubokawiarnia straciła wielu swoich zagorzałych wielbicieli. A trzeba tu od razu powiedzieć, że wielbiciele owi pochodzili nie tylko z Grocholic, ale również z sąsiednich, upośledzonych kulturalnie wiosek (wymienię tylko Poreby, Zamoście, Zdzieszulice i Mazury). Nie znaczy to, oczywiście, że lokal świecił pustkami. W dalszym ciągu ludzie schodzili się o zmroku, żeby pogwarzyć, posłuchać radia, poczytać. Czasami odbywały się tu zebrania Ligi Kobiet, czasami poborowi wynajmują lokal, czasami jakiś prelegent z odczytem zawita, i frekwencja wówczas jest duża... Wszystko to dobitnie przemawia na korzyść klubokawiarni w Grocholicach: potrzebne jest forum, gdzie można się spotkać co wieczór i dyskutować o najbardziej aktualnych sprawach wielkiej społeczności, potrzebne jest miejsce, w którym, po całonocnej pracy, ludzie odznaczają w sposób mniej forsowny niż, na przykład, w gospodzie — przy kieliszku z wódką czy przy bombce z piwem.

Opowiadał mi zdecydowanie za ideą klubokawiarni. A w szczególności — za ideą klubokawiarni, które są najczęściej pierwszymi i jedynymi łącznikami pomiędzy wsią i tym, co nazywamy kulturą masową. Dodajmy jednak, że kontakt z kulturą masową najłatwiej nawiązać poprzez telewizor. On jest atrakcją numer jeden w każdym klubie. Nie trzeba nikogo namawiać, aby popatrzeć na „Czterech pancernych” czy też żeby zaczął obejrzeć kronikę wojny wietnamskiej.

Toteż — że się dzieje, kiedy telewizor milczy. Żle, kiedy stoi pod kurzem w pustej, nie ogrzanej sali. I jeśli miłośnik pretensji, że chłopcy w grocholicim klubie zarzynają w karty (że grają — nie wielkiego. Ale grają całymi godzinami), to tylko do tej niegrzecznej, upartej maszyny, stojącej niby zabytku muzealnego w trzeciej, słodkiej przeczelnionej, teraz wymarłej komnacie. M. W.

ABYŚ DOŻYŁ REMONTU

Dalszy ciąg ze str. 1

* * *

Wielu lokatorów domu przy ulicy Radomskiej z radością porzuciłoby stare progi, gdyby tylko była nadzieja uzyskania przydziału w nowych blokach. Większość rodzin tu zamieszkałych gnieździ się w pojedynkach. Remont kapitalny przekreśla nadzieje na przeprowadzkę i to jeden z poważniejszych powodów dla których remonty są tak niepopularne.

Walczakowie jednak nie chcą już żadnych zmian. Przekroczyli siedem dziesiątek, a w tym wieku pragnie się już tylko spokoju. Z tych właśnie względów było z nimi sporo kłopotów. Nie chcieli się wprowadzić do baru. Nie pomagały długie pertraktacje. — Ja nie przeżyję tego remontu — mówiła Walczakowa i wierzyła, że tak właśnie będzie. Przeżyli jednak i teraz Walczakowa mówi krzątając się po kuchni. — Odnówione mieszkanie, to jak nowa wiosna — odmiada. I mówi jeszcze, że w tym domu wszyscy żyją długo.

Tylko o starych domach mówi się tak jak o żywych istotach. Chwali też, a sąsiadki skwapliwie podchwytyją, kilku spośród robotników — cieśli — Mariana Kowalskiego i Józefa Pawlaka, murarza Józefa Sęka.

— Tacy uczynni, grzeczni nie słyszysz się żadnych „wyrzów”, zawsze trzeźwi, choć w tym zawodzie to rzecz niespotykana. A jednak...

* * *

Mam więc swój „akcent optymistyczny” i zaczynam już prawie wierzyć, że nie taki straszny diabeł jak go malują, że inaczej mówi się o remoncie przed remontem, a inaczej po i trzeba tylko przeczekać ten trudny okres.

Z tego błędnego nastroju szybko muszę rezygnować. Już na niższych piętrach słyszę zupełnie inne opinie — ściana się rysuje — piecyk założono paleniskiem do ściany, na początku starali się, a teraz robią byle zbyć. — O widzi pani jak się dymią? A przedtem się nie dymiało... Lokatorka z pierwszego piętra stukła w ścianę zgłębionym kielichem — tu się odzywa — mówi — a tu się nie odzywa... Chodzi o ścianę, która wydaje w jednym miejscu dźwięk głuchy, w drugim, dźwięk o ton wyższy. Nie wiem czego to dowodzi, czy jest to szukanie dziury w całym, czy uzasadnione obawy.

— Wszystkim nie dogodzi — stwierdza filozoficznie Orędownicz, który towarzyszy mi w oględzinach. Idziemy również do baraków, gdzie mieszka jeszcze kilka rodzin. Baraki nie wyglądają zachęcająco — to fakt. Prowizorki, zbite z desek, w środku spiętrzone graty, kucharki — kozy.

— Ile to węgla idzie — szkoda ga dać — ale trzeba palić bo można jakieś choroby dostać od wilgoci. — Słucham tych utyskiwań nie bez zastrzeżeń, bo o tym węglu różnie mówią. Ponoć więcej spala się w tych „kozach” drewna państwowego niżli własnych zapasów z piwnicy. To jest taka mała rekompensata za „straty

moralne” poniesione w ciągu trzech miesięcy — tyle bowiem czasu trwa okres przymusowej, barakowej wegetacji.

Są i tacy, którzy tę wegetację samowolnie przedłużają, bo chcą za jednym zamachem odmalować ściany, podłogi, wymienić meble i wrócić do mieszkania odszykowanego na wysoki polysk.

* * *

Drewniany, parterowy biurowiec mieści się vis a vis ulicy Radomskiej. Tam też dokonuje konfrontacji opinii lokatorów z opinią wykonawców. Tu już obowiązuje zupełnie inny punkt widzenia. Dowiaduję się czym jest remont oglądany „z drugiej strony barykady”.

Problemów jest mnóstwo. Pierwszy z nich i podstawowy — to wzaajemne stosunki wykonawcy — lokator. Wykonawca otrzymuje zlecenie na remont. Zbiera się komisja, bada obiekt, oblicza koszty, które nie mają prawa przekroczyć 70 procent wartości budynku. Drugi warunek — fundamenty muszą być dostatecznie zdrowe, aby uniosły ciężar nowych żelbetonowych stropów (dawniej podparte są przeważnie belkami drewnianymi). Gdy projekt remontu zostaje zatwierdzony, zaczynają się pertraktacje z lokatorami. I z tym właśnie bywa różnie. Raz dobrze, raz gorzej, raz całkiem źle.

Częściej źle niż dobrze. Ot, np. przy ul. Rzgowskiej 15 doszło do poważnych zatargów, sypały się niewybredne „wiazanki”. Najpierw targi o drzewo rosnące na podwórzu. Trzeba było je wyciąć. O to drzewo lokatorzy stoczyli całą batalię, sięgając nawet do argumentów prawnych. Uciekło z drzewem, zaczęła się wojna o komórkę. Przedsiębiorstwo zlecono wybudować budynek gospodarczy, w którym ma znaleźć pomieszczenie pralni, komórkę i „w.c.”. Aby jednak rozpocząć prace budowlane trzeba zburzyć stare drewniane klitki. Lokatorzy zjednoczyli się we wspólnym froncie i jak jeden mąż powiedzieli — „nie”. W gruncie rzeczy chodziło o to, że jeden z lokatorów własnym sumptem postawił sobie garaż i musiałby ów garaż rozbudować.

Żał garażu, to prawda, ale co ma zrobić przedsiębiorstwo? Rozebrać siłą? Nie wolno. A czas nagli. Przejdzie wyznaczony termin, to i premia ucieknie. A lokatorzy mówią — kto ich prosił żeby nas uszczęśliwiali? Dobrze nam tak było i nie chcemy żadnych zmian. Słusznie, dobrze im tak. Niestety, wykonawca nie może machnąć ręką i zaniechać budowy. To wszystko jest już opracowane, tkwi w planie. Do obowiązków wykonawcy nie należy uzieranie się z lokatorami, ale w rzeczywistości ta instytucja właśnie musi to robić, bo inaczej plan leży, a za wykonanie planu tylko wykonawca ponosi odpowiedzialność. A w gruncie rzeczy powinien te sprawy załatwiać inwestor. Powinien, ale nie musi, a to różnica.

W biurze sytuacja jak na froncie. Robotnicy przychodzą z licznymi skargami. Trudniej skarżyć się na robotników, choć byłyby powody. Trudniej, bo jest ich wciąż za mało. Na rynku pracy nie ma rezerwy.

Lepszych fachowców zabiera Warszawa, a także łódzkie, bratnie przedsiębiorstwa. Starsi, solidni fachowcy, którzy mają wpojony szacunek do pracy, wykruszają się powoli.

Ci nowi, to element różny. Duży procent stanowią karani. Przyjmuje się ich i przyjmuje oczy na wiele sprawek, bo są potrzebni. Demoralizujące to, a jak bardzo, świadczyć może taki przypadek: dwóch dekarzy którzy kryli dach Komendy Dzielnicowej MO wymieniło, w biały dzień, kilka rolek blachy cynkowej na czystą wyborową... Co z nimi zrobić? Sam dzielnicowy zafrasował się wielce, bo jak zamknąć się winnych, nie będzie komu pokryć dachu. Dekarzy brak... Ot i problem... A MPRB nr 6 należy do czołwki wykonawców, to znaczy, że bywa też gorzej.

Lokatorzy, pracownicy i problemy z tym związane wystarczyłyby, aby głowa spuchła, a nie są to niestety problemy jedyne. Bo oto np. materiały budowlane: Przydziały są wciąż jak za krótką koldra. Jest wapno — to brak drewna, i tak w

kółko. Najczęściej jednak brak drewna. Kto winien, że znika ono z budowy nieczym kamfora; robotnicy czy lokatorzy?

„Ksiądz pani wini, pan ksiądz” i obie strony są kryte. Racja wykonawców w tej sprawie: — gdybyśmy mogli na czas remontu wyprawić wszystkich bez wyjątku lokatorów, wtedy możemy brać całą odpowiedzialność za ubytki drewna tudzież innych materiałów budowlanych. Niestety, remont przeprowadza się „pionami” czyli, że wyprowadza się lokatorów z jednego skrzydła, potem z pionu środkowego, drugiego skrzydła itd. Część lokatorów mieszka zawsze w czasie trwania remontu, mieszka dzień i noc. Nie ma mowy o jakimś zabezpieczeniu terenu budowy.

Racja lokatorów: Najłatwiej zrzucić odpowiedzialność na nas. To świetna pokrywa, parawanik dla różnych nieczystych interesów.

Wina zapewne, jak to zwykle bywa leży po obu stronach. Faktem jest, że lokatorzy mają swoje sposoby. Np. przydybano pewnego właściciela remontowanego mieszkania

jak wybił sobie beztrudno szyby w oknach, tylko dlatego, że był pochłapany tynkiem i trzeba było je myć. Lepiej więc wybić, powiedzieć, że to zrobili robotnicy w trakcie prac i szklarz wstawi nowe, czyste jak lza.

Odwoływanie się do przykazania: szanuj własność publiczną, nie daje jakiegoś efektu. Nie mówię, że dotyczy to wszystkich, co to, to nie! Ale to, co się dzieje, wystarczy w zupełności, aby wiele tysięcy złotówek państwowych spisać na straty.

* * *

Nie chcę być złym prorokiem twierdząc, że nie zanosi się na jakąś bardziej radykalną poprawę. Już bowiem domy budowane w naszym 20-leciu dojrzewają pomału do remontu.

A więc, paskudne życzenie „abyś dożył remontu” ma realne szanse aby się sprawdziło. Radzę wtedy zachować benedyktyński spokój.

Tylko spokój może nas uratować!

TERESA ZWIERZCHOWSKA



Fot. E. Kuda;

Spacer przez cztery ulice

Dalszy ciąg ze str. 1

jeden milicjant i ja. I znalazłem go po trzech miesiącach, w tłumie spokojnych ludzi. Niepotrzebnie ścigałem go wzrokiem, uciekł i znowu szukałem, ja i dwóch ormowców, po knajpach, zakamarkach, i u cieci Mani, i tych ormowców dreczyły wątpliwości, czy to naprawdę on wybił szyby z mo-nopolu i ukradł cztery litry, znali go dobrze, dotąd nie siedział, nie rozrabiał, a skąd ma szramę na czole — nie wie nikt.

— Panie dzielnicowy — mówił Pietrek — a może to kto inny, dowodów brak.

— Nie jeden cwaniak w tej dzielnicy mieszka — dorzucił Czyżewski.

Skrecał w drugą ulicę, Deszcz mży bez przerwy. Coraz puśniej. Chce zapalić. Na służbie nie wolno. Muszę, Brama. Tu mieszka Pietrek — ormowiec. Osiemnaście lat. Jak miał szesnaście — handlował pod kinem bilecikami. Przestrzegałem matkę i ojca, żeby temu położyli kres. A oni?

— To nie jest zbrodnia, Lepsze to, niż miałby krasć.

Wtedy przyłapałem go przed kinem. Kryminał jakiś grzli. Tłok. Mówię:

— Masz bilety?

— Mam.

— Daj mi jeden na szósta.

— A pierwsze miejsca, czy drugie?

— Mogą być pierwsze.

Oddał mi z rulonika. W dziesiątym rzędzie.

— Ile? — pytam.

— Po cenie.

— Zbankrutujesz.

Wyczuwał cholernik, że go lubię. Chodził z moim synem do szkoły. Syn też był ziółko, zanim do pracy nie poszedł, też miał to i owo na sumieniu. Dałem mu dziesięć złotych i mówię.

— Przyjdź jutro do komendy ORMO.

— Po co?

— Partyzant będzie z ostatniej wojny. O przygodach z lasu opowie.

— Przyjdę — powiedział.

Przyszedł. Ja też. Usiedliśmy razem. Jan Z. pseudo „Tygrys” opowiadał o walkach z okupantem. Ciekawe. Opowiadał o bitwach z banderowcami. Ciekawe. Chłopak wypieków dostał, ogryzał paznokcie.

— To ormowcy też w lasach walczyli? — spytał mnie nieśmiało i cicho.

— A coś myślał.

— Nie wiedziałem — powiedział zawstydzony.

— Ty jeszcze dużo rzeczy nie wiesz. Bilecikami pod kinem handlować wolisz.

— Na panu, panie dzielnicowy, nie nie zarobiłem.

— Słuchaj no — ja do niego — przecież ci mogłem aresztować. Mogłbym ci wszystkie bilety zabrać i pieniać, i do zakładu byś poszedł. Ale co mnie to obchodzi. Każdy kowalem swego losu.

— Pewnie — bąknął. Zadumał się. Wtedy ja na całego:

— A jak byś tylko chciał?

— To co?...

— Może by cie do ORMO przyjeł.

— I opaskę bym dostał?

— Tak.

— I karabin?

Broni teraz ormowcy nie noszą. Ale ze mną byś chodził na patrole.

I chodził ze mną. Zmienił się chłopaczek. Spoważniał. Technikum w tym roku skończy. On też ma swój udział w spokoju tej dzielnicy. W spokoju? Trzy miesiące temu Szrama zrobił włamanie. I uciekł. Spokojem go potem w tłumie łudzi. Znowu uciekł. Nie mam przez to spokoju. I mieć nie będę, dopóki go nie chwycę, dopóki nie odpowie przed sądem, dokąd nie poniesie kary, której tak bardzo mu potrzeba, żeby się przyuczył do uczciwego życia. Innym też się przyda taka przestroga. W mojej dzielnicy musi być grzeczność: nie wolno rozbijać szyb, rabować wódek. Winowajca będzie ukarany. Po moim trupie.

Jestem na trzeciej ulicy swego czworoka. Tu jest Komenda ORMO. W małym, piwnicznym pomieszczeniu. Schodzą tam. Ci, co czekają na zmianę, grają w szachy. W kacie radio. Muzyka. Komendant pali papierosa. Giewonty. Siano. On mówi, że mu smakuje. Ja sporty. Pyta mnie o Szramę. Czy byłem wczoraj u Mani. Byłem. Chodzę codziennie. W mojej dzielnicy musi być grzeczność, a Mania jest... Mania ma skłerozę. Wygadała się wczoraj. Niechcący. Dziś, jak dobrze pójdzie, będę go miał. Tylko trzeba poczekać. On przychodzi po północy. Wtedy, gdy Mania ma prawo nie wpuścić, nawet milicji. Ale ja wiem, jak pukać. Umowne. Pomyśli, że swój. Otworzy. Komendant mówi, żebyśmy sobie wybraли dwóch. Nie muszę wybierać. Wezmę Piotra i pierwszego z brzegu. To są dobre chłopaki, odważne, a Piotr wystarczy za trzech. Że nie biorę posiłków z MO?... Bo nie ma po co. Sam sobie poradzę. Szrama — dzieciak jeszcze. Zresztą... wstyd mnie pali, to za długo się ciągnie. Pewnie, on wyjeżdża gdzieś, w domu nie mieszka, wie, że ja wiem, i jak go spotkam... Ale Mania stara już, wygadała się wczoraj, on przyjdzie dzisiaj o północy, będzie przemukał pod murami, jak kot, choć mógłby iść jak człowiek, i przeklina chyba ten wieczór, kiedy zamierzył się na sklep i ukradł wódkę, i na pewno chciałby już z tym wszystkim skończyć, żeby mieć wreszcie spokój, żeby odsiedzieć swoje i zacząć życie od nowa. Muszę mu pomóc, bo sam się nie zgłosi. Muszę mu wyjść naprzeciw, a wtedy przyzna się od razu; moja wina, że go nie złapał, gdy stał w tłumie, przyklejony plecami do ściany, jakby się czał —

ZBIGNIEW CYBULSKI

Gest człowieka

Tekst niniejszy opracowany został na podstawie rozmowy przeprowadzonej z naszym znakomitym aktorem w redakcji włoskiego czasopisma „Filmoristica” w październiku 1966 r. i opublikowany w tymże czasopiśmie nr 174/67.

Moim zdaniem istnieją dwa typy aktorów: aktorzy, którzy starają się, aby kreować postać miała coś z nich samych, z ich osobowości, natury oraz aktorzy, którzy szukają postaci i starają się do niej dostosować. Pierwsi prezentują siebie samych, drudzy naginają się do wymagań sztuki lub scenariusza i reżysera. W filmie zdarza się bardzo często, że aktor obdarza swoją osobowością, swoją indywidualnością postaci, które kreuje. Wy starczy pomyśleć o takich aktorach jak Gary Cooper, Marlon Brando, Chaplin, James Dean, Belmondo, którzy potrafili stworzyć bardzo określony typ postaci występujący we wszystkich ich filmach lub przynajmniej w większości. Rzecz jasna, że tego rodzaju aktorstwo wywołuje u publiczności nawyk oglądania danego aktora — postaci i jeśli przypadkiem postać się zmieni, publiczność czuje się zawiedziona, niezależnie od obiektywnej wartości nowej kreacji. Kiedy Chaplin pojawił się w zmienionej postaci w „Panu Verdoux” i „Królu w Nowym Jorku”, pierwszą reakcją publiczności było właśnie rozczarowanie. I kiedy ja, oczywiście, nie mam najmniejszego zamiaru porównywać się z wymienionymi tu aktorami, wystąpiłem kilka razy bez cennych okularów, które noszę z przyczyn zdrowotnych, otrzymując wiele listów z protestami, a nawet wymystami.

Stworzenie postaci filmowej, w sensie o jakim wspomniałem, wymaga od aktora poważnego wysiłku i zaangażowania. Trzeba nieustannie mieć na uwadze logikę dramatyczną postaci, czyli wspólny mianownik psychologiczny, łączący różne postaci z osobowością samego aktora. Bardzo ważna jest ciągłość i psychologiczna spójność postaci. Oczywiście, można to łatwiej osiągnąć w krajach, które produkują więcej filmów ponieważ dzięki temu zwiększa się obiektywna możliwość pracy, a stąd możliwość wyboru pozycji naprawde interesujących.

Drugi typ aktora, który stara się „wejść” w skórę różnych postaci, występuje w filmie rzadziej niż poprzedni. Są to aktorzy tego rodzaju co Shirley MacLaine lub Czerkasow, którzy starają się mieć możliwie szerokie i różnorodne emploty i którzy na ogół pochodzą z teatru i teatrowi zawdzięczają swą edukację. Teatr posiada mniejszą moc magiczną niż film i dlatego swoją siłę oddziaływania oprzeć musi na aktorze, który zosłaje niemal zobowiązany do wcielenia się w postać proponowaną przez dramaturga. Powiedziabym, że w teatrze poczucie bezpośredniego kontaktu z publicznością wywiera na aktora tak wielki wpływ, że jego wyobraźnia „otwiera się” i może on wcielić się w postać.

W filmie jest inaczej. Kto stoi sam przed kamerą znajdującą się o 10 cm od jego twarzy i poddawać się mu si nieustającej samokontroli, musi być bardzo powściągliwy, a przede wszystkim bardzo szczerzy. Sądzę, że tak w teatrze jak i w filmie najważniejszym elementem jest aktor, człowiek, a nie reżyser.

Nie tak dawno dyskutowałem na ten temat z wielkim polskim aktorem Holoubkiem. Holoubek utrzymywał, że w filmie najważniejszym elementem jest reżyser i na poparcie swojej tezy powołał się na przykład sceny, w której grają dwaj aktorzy, reżyser wpuszcza na plan psa, to pies automatycznie przyciąga uwagę widzów, a grający aktorzy, nawet najlepsi, zjeżdżają na plan drugi. A wszystko dlatego, że tak chciał reżyser. Ja twierdziłem, że przykład ten dowodzi tylko braku taktu ze strony reżysera, ponieważ to zupełnie zrozumiałe, że pies który wbiega na scenę, podczas gdy gra na niej aktor, nawet Hamleta, przyciągnie uwagę publiczności i odwróci ją od aktora, ale tylko na mój przypadek, na zasadzie okoliczności całkowicie nieprzewidzianej.

Widziałem dużo dobrze zrobionych filmów, gdzie reżyser pokazywał to, co miał ochotę pokazywać, a jednak aktorzy nie potrafili emocjonalnie przekazać tego, co mieli nam powiedzieć i co reżyser chciał powiedzieć. Weźmy np. Gretę Garbo — wielką aktorkę o bogatej osobowości. Filmy, w których grała były bardzo niedobre, to prawda. A jednak właśnie dzięki doskonałemu aktorstwu, dzięki postaciom, które stworzyła, te filmy zostały uratowane i dziś jeszcze cieszą się ogromnym powodzeniem wśród publiczności. To prawda, że jest wielu reżyserów, którzy chcą robić wszystko sami i którzy usiłują nam narzucić swoją osobowość, ale mnie się to nie podoba, i ośmielię uważać, że jest to rodzaj auto-reklamy z ich strony.

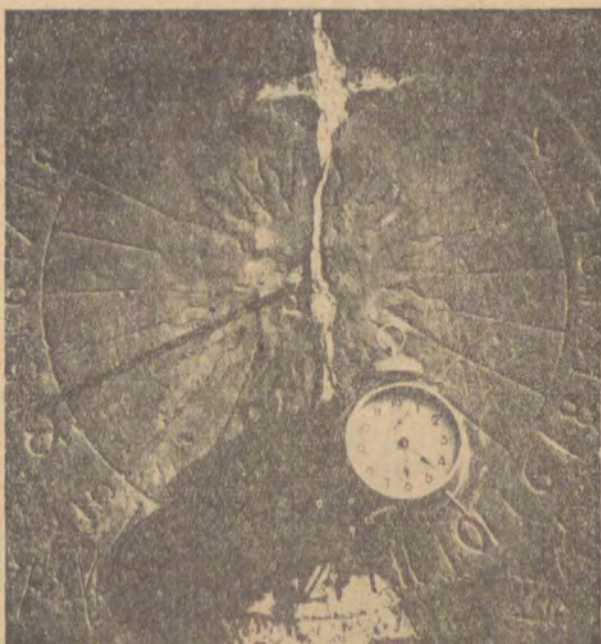


Foto: F. Ujezdsky

TEATR W POLSCE, WPŁYW TEATRU KLASYCZNEGO NA FILM

(...) Najpiękniejsze, najbardziej namienne, najboleśniejsze i najcenniejsze stronicie polskiego dramatu zrodziły się w okresie rozbiorów. (...) Te stronicie pełne są dialogów wewnętrznych, obsesji, refleksji, symboli. Z pewnością najwyższym osiągnięciem teatru owej epoki, zawierającym w sobie całą jego istotę jest wielka improwizacja w „Dziadach” Mickiewicza i „Kordian” Słowackiego. Teatr ten nie wywarł jednak większego wpływu na przedwojenną kinematografię polską, ponieważ miała ona charakter wyłącznie komercyjny. Dopiero lata okupacji zbliżyły ówczesne pokolenie do wielkiego dzieła sztuki artystycznego — sztuki, a zbliżenie to określiło i zapożyczyło nasz film współczesny. Ale w wielu przypadkach to zbliżenie ma charakter tylko zewnętrzny.

Jako przykład może posłużyć sekwencja „Popiele i diamentów” Wajdy. Publiczność zagraniczna często się nią wzrusza, ale jej nie rozumie. Wajda odwołał się tu do tekstu już niemal klasycznego — do „Wesela” Wyspiańskiego, do tańca Chochola, którego sens znany jest publiczności polskiej. (...) Podobna scena została tu jednak inaczej zinterpretowana i potraktowana przez obu autorów. Dla Wyspiańskiego była to scena bardzo bolesna, podczas gdy Wajda chciał wyrazić swoją ironię pod adresem odchodzącej klasy społecznej.

Wpływ teatru na film polski jest rezultatem nie tylko popularności sztuki scenicznej, ale i faktu, że większość aktorów wywodzi się z teatru i większość reżyserów filmowych parło się i zajmuje dalej reżyserią teatralną.

Trzeba uwzględnić także fakt, że kinematografia o pewnej godności artystycznej liczy sobie w Polsce dopiero 20 lat. Nowe pokolenie stara się jednak unikać za wszelką cenę kontaktów z teatrem i widać to wyraźnie w bieżącej produkcji.

Chyba w „Rekopisie znalezionym w Saragossie” Hase widoczne są naleciałości teatralne, zwłaszcza w scenografii, ale jest to rezultat świadomego wyboru stylistycznego ze strony reżysera, zważywszy nieoczywisty, baśniowy charakter książki Potockiego.

W każdym razie, można powiedzieć, że teatr klasyczny pozytywnie wpłynął na nasz film, chociażby dlatego, że związał go z narodową i ludową tradycją. Uważam, że każda kinematografia winna być związana z narodowym dziedzictwem kulturalnym i dlatego cenię wysoko kinematografię japońską (oczywiście, nie wszystkie jej dzieła, bo przecież w „dużej” mierze naśladuje ona kino amerykańskie, ale twórca Kurosawy jest np. autentycznie japoński) i radziecką.

SYTUACJA TEATRU W POLSCE

Wolę nie używać terminu awangarda w stosunku do teatru współczesnego, podobnie jak i w stosunku do innych form ekspresji. O tym co należy do awangardy zdecydować potomność. Znamienny w tym względzie jest przykład Witkiewicza, dramaturga z początków naszego stulecia, który został dziś powtórnie odkryty. Mo-

Dalszy ciąg na str. 8

moja wina, że się boi, trzęsie, drży ze strachu o te parę dni dłużej. A u Mani na pewno się chwali, cwaniaka udaje, mówi, wpadają frajerzy...

Do północy mam czas. Idę czwartą ulicą. Tu kiedyś było najgorzej. Dozorca pod dwudziestym ósmym handluje wódką. Wiem. Nie mam dowodów. Ale bede miał. Trzeba jeszcze dwa, trzy dni poczekać, i dowody się znajdą, i to dowody w półlitrowych, świeżutkich butelkach, prosto z monopolu. Ale poza tym, poprawiło się trochę. Odkąd Marciniak wpadł? Nie raz przestrzęgałem:

— Weź się, Józku, do jakiejś roboty. Zobacz, chłopaki się poustawiali, Pietrek — ormowiec szkole kończy. Czyżewski się ożenił, majstrem zostanie... A ty co... gorzałka i bi-jatyki, a lata leca, Józku, uczciwy zawód trzeba mieć.

Smiał się tylko:

— Ja, panie dzielnicowy, nic złego nie robię.

— Ludzi bijesz...

— Tacy ludzie...

— Jacy — mówię — szczeniaku — bo żem się zdenerwował.

— Nie gorsi od ciebie.

No i przeciągnął w końcu strunę. Pobił chłopaszka, dwa lata młodszego od siebie. Też zwiął z domu, bo wiedział, że tamtemu zrobił obdukcję: ścigany był z urzędu, i ja go szukałem. Niedługo. Na strychu siedział, a brat mu donosił iedenie.

— Panie dzielnicowy, niech pan mnie zostawi — proszę. — Piłany byłem, nie wiedziałem co robię.

— Jak sobie rok odsiedzisz, będziesz wiedział, co robisz — powiedziałem.

Dostał osiem miesięcy. Bo pierwszy raz. Znaczą — pierwszy raz przed sądem. I odtąd chłopaki trochę spokojniejsze. Jeszcze tylko Hanke trzeba przypilnować, i na czwartę będzie jako tako.

No i jeszcze on. Szrama. Godzina 23.43. Teraz jeszcze raz w koło. Ostrożnie. Żeby go nie spłoszyć. Żeby nie było tak jak wtedy: ścigałem go wzrokiem, przysnął na drugiej stronie, brama, mrok, dwa przebiegli — te cholerne przebiegli pod trzydziestym trzecim — dwie różne ulice, dwa tropy, nie wiadomo którym, i znikli...

Komenda ORMO. Pietrek już jest. Lubie cholernika i on wie. I wie, że wtedy, pod kinem, przyszedłem specjalnie do niego.

— Siadaj — mówi komendant. — Macie jeszcze pięć minut.

Odmawiam. Nie chce się rozkleić. Tu jest za ciepło i robię się senny. Trzeba wyjść na wiatr i orzeźwić się trochę. Papieroś. Już wolno, bo służbę skończyłem. Szrama — to nadgodziny. Chce mi pomóc. Wiem, że czeka na mnie. Że ma już tego dosyć, że zniszczył go strach. Mój Boże, czterdzieści litry ciernikowej gody. Ile za to dostanie — rok, dwa, trzy lata?...

Nie myślę...

Idziemy wąską, łódzka uliczką. Trzypiętrowe domy mokre z deszczu, światło latarni odbija na feźni. W oknach ciemno — ich kobra skończona. Piotr postawił kołnierzy. Ten drugi też. Widzę jego twarz, młodą, przebiegłą. Zna Szramę? Może byli kolegami? Może ich drogi niedawno się rozbiegły?

Staję pod oknami cioci Mani. Światło przez szparki w okienkach. Pukam. Umówiony sygnał. Trzy razy szybko, dwa razy wolno, i od nowa. Jak byłem wczoraj u cioci, tak właśnie ktoś zapukał; spojrzałem na jej twarz i wiedziałem...

Piotr z kolegą zostają pod oknem. Żeby odciąć mu odwrót. Ja wchodzę do bramy, do stobiel, mrocznej sieni, pod drzwi. Szmer. Albo mi się zdawało. Włose pukam jeszcze raz. Cisza. Włose jeszcze...

Kaszel. Długie, suche serie. Kroki. Gderliwy głos.

— Kto tam?!

— Dzielnicowy.

— Nie otworzę. Po nocach się ludzi nie budzi!

— Otwórz, ciociu — mówię. — Ja przecież wszystko wiem.

Cisza. Potem:

— Nie otworzę!

Włose zaczynam tłumaczyć, że jest nas trzech i czekać będziemy do rana. Że oni się zmęczą i my. Niepotrzebnie. Że to wreszcie trzeba skończyć.

Włose usłyszałem jego kroki. Głębokie, spokojne, już się nie skradał, ani krył.

Otworzył drzwi i wyciągnął do mnie rece.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

„Z nią było łatwiej przeżyć”

W styczniu br. został rozstrzygnięty konkurs pn. „Z nią było łatwiej przeżyć”, ogłoszony w 1965 roku przez Zarząd Okręgu ZBoWiD i Łódzką Rozgłośnię „Polskiego Radia”. Celem konkursu było zgromadzenie w archiwum radiowym tekstów oraz melodii piosenek partyzanckich, obozowych, powstańczych i żołnierskich, powstałych w latach 1939—1945, a dzisiaj już w dużej mierze zapomnianych. Spośród nadesłanego przez uczestników konkursu materiału, drogą eliminacji, wybrano 289 tekstów zgłoszonych przez 51 osób. Za najwartościowsze i najlepiej udokumentowane zbiorki piosenek przyznano 15 uczestnikom konkursu nagrody oraz wszystkim 51 osobom pamiątkowe dyplomy. Wręczono je na uroczystości zorganizowanej 15 stycznia br. w Technikum Łączności nr 1 z okazji XXII rocznicy wyzwolenia Łodzi i XXV rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej. Informując o tym naszych Czytelników, prezentujemy fragmenty piosenek, zaczerpniętych ze zbiorów nadesłanych przez nagrodzonych uczestników konkursu.

Spotkał ulan dziewczę w lesie,
Skoczył z konia, przeży, gnie się.
Daj całusa dla wiarusa, nikt nie dowie się.
Bywaj zdrowy, mój ulanie,
Buzi jednak nie dostaniesz,
Przyjdzie piechur, co wart grzechu, jemu buzi dam!
Już werbel warczy, to partyzanty,
To „Jedrusiowa” radomszczańska brać,
Jada „Jedruse”, choćby ich stu się
Zebralo na raz, wszystkim buzi dam.

(Fragment z piosenki „Partyzancka brać”, napisanej w 1943 roku w Radomsku dla oddziału partyzanckiego „Robotnika”. Piosenkę śpiewali również uczniowie tajnych kompletów oraz inne oddziały.

Muzykę do słów Czesława Kalkuskiego „Czechury”, wyróżnionego nagrodą ufundowaną przez Woj. Komisję Zw. Zawodowych w Łodzi, napisał Henryk Fajt „Garda” z Radomska, nagrodzony na tymże konkursie i nagroda, ufundowana przez Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej).

Wyście mieli Monte Cassino,
I tysiące ginących bez skargi,
Ale u nas partyzant też ginał,
W Limanowej i Nowym Targu.

W noc sierpniową płonęła Warszawa.
I Słowacja krwią własną spłynęła,
Pułk wyruszał z boją wrzawą,
Jeszcze Polska nie zginęła.

Nie zazdrośm waszych mundurów,
I nie chcemy proporców ulanckich,
Idziem tylko bronić nasze góry;
Pierwszy Strzelców Podhalańskich!

(Piosenka partyzancka I pułku Strzelców Podhalańskich AK, wyjęta ze zbioru piosenek okupacyjnych, złożonych na konkurs przez Mieczysława Kozaka z Łodzi; uczestnika Szarych Szeregów na Kielecczyźnie, nagrodzonego na konkursie „Równorzędna i nagroda, ufundowana przez Wydział Kultury Rady Narodowej m. Łodzi).

Ryk armat spiszowych, plutonów bojowych,
Żołnierzy AL nie przeraża,
Bo walczą z zapalem, o wolność i chwałę,
Aż zginie na wieki moc wroga.

Las hymnem nam dzwoni, za szwabem w pogoni
„Łokietek” w zwycięstwo powiedzie,
W nas śmierci pogarda, zuchwała i harda,
Ojczyzna nam „Świt” na przedzie.

Wnet „suka” zastuka, dla szwaba nauka,
Nad głową nam granat zawarczy,
Pepesze terkoczą, do walki ochoczo,
Nam sił do zwycięstwa wystarczy!

Włose naprzód, Brygado, gdzie szwaby gromada,
Rozbrzmiewa natarciem las. Hurra!
Hej w „Świt”, w górę głowa, Brygado „Świtowa”,
Choć mundur krwi zdoł purpura.

(Piosenka pt. „Świtowcy” Brygady Armii Ludowej „Świt”, działającej w Górach Świętokrzyskich, napisana przez partyzanta ps. „Wola” w czerwcu 1944 roku, a wyjęta ze zbioru piosenek dostarczonych na konkurs przez Ryszarda Klimę z Łodzi, nagrodzonego nagrodą ufundowaną przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację).

Lysa Góra, co jodłami, sięgasz nieba,
Sięgasz nieba ponad nami.
Idziemy na bój, w kraj nasz, daleki świat.
Zegnaj wiosko ukochna, jutro kula.
Jutro kula, albo rana,
Za sprawę świętą, kraj nasz ojczysty, lud.
Dolinami i lasami, idzie Polska,
Nowa Polska z partyzantami.
Za krew, łyż matek i małych dzieci, siostr.

(Fragment piosenki Batalionów Chłopskich, napisanej w roku 1943 przez podchor. „Bota”, pt. „Odmarsz spod Łysicy”, dostarczonej przez Bolesława Kaczmarskiego z Kiele, nagrodzonego III nagrodą, ufundowaną przez Łódzką Rozgłośnię Polskiego Radia).

Łnią się fale Wisły rzeki, od księżycy i od lez,
Niesie ból nasz w świat daleki. Kiedy mąk i cierpień kres?
Gniewne toczy Wisła fale, cudne fale młodych wód,
Hen, w nieznane niesie dale, łyż co wylał Polski Lud.
Włose Wisła płynąć będzie i swą nam zaszumi pieśń.
Gdy już Wolność złota będzie, wiatr radosny niesie wieść!

(Fragment piosenki „Gdzie ptak śpiewa” na mel. „Wolna, Wolna”, ułożonej i śpiewanej w latach wojny w szwalni przy ul. Piotrkowskiej 3 w Łodzi; wyjęta ze zbioru dostarczonego na konkurs przez Ninę Urbanak z Aleksandrowa, wyróżniona nagrodą ufundowaną przez ZBoWiD).

Podał do druku:
TADEUSZ SZEWERA

ROZBIEG

Nie tylko gmach, ale i gabinet był w stylu wielkiego Gorwała. Paradziejewiczowi przemknęła przez głowę absurdalna myśl, że gabinet ten zmienia swoje rozmiary zależnie od sytuacji. Że na zasadzie jakichś tajemniczych praw przyrody rozrasta się w chwili, gdy próg przekracza jego władca, że z tak samo niewyjaśnionych powodów maleje, gdy Gorwał zeń wychodzi. W tej chwili miejsce urzędowania Gorwała przeżywało okres swojej wielkości.

Na tle tego imponującego sanktuarium Gorwał z powodzeniem odgrywał rolę bóstwa. Rozparty w swym fotelu przypominał do złudzenia króla pikowego. Paradziejewicz korciło, aby zająć ukradkiem pod biurko dla sprawdzenia, czy nie zo-

wy — z tego, co mi pan tu powiedział, zrozumiałem, że Dobiasza pan ceni, ale równocześnie wysuwa przeciw niemu pewne obiekcje.

— Ależ skądże. Chciałem tylko zaznaczyć, że żyjemy w mieście, gdzie się wszyscy znają...

Pogodne dotychczas czoło Gorwała pokryło się siecią zmarszczek.

— Niech mi pan nie przerywa. To jedna z niewielu rzeczy, których nie cierpię. I niech mi pan nie objaśnia spraw, które znam lepiej od was wszystkich razem. Panu wydaje się, że to wyświe tam, w tej swojej dziurze, wymyślił ten interes. Myśli się pan. Cała idea powstała tu... Przy tym biurku... W tym mózgu... Ja nie jestem, mój panie, człowiekiem lekkomyślnym. U mnie wszystko musi grać. Wszystko zo-

ma. Bo innymi ludźmi takie spacer i różne szczyty dobrze robią. Są potem zdrowi. Ja jestem zdrowy i bez tego. A dlaczego? Właśnie dlatego, że się nie leczę. Gdybym zaczął się leczyć, od razu bym zachorował. Wyobraża pan sobie mnie, leżącego na podłodze i przez dziesięć minut wyrzucającego do góry to lewa to prawa nogę? — zaśmiał się na samą możliwość tak groteskowej sytuacji. — Bo widzi pan, mój doktor nauczył się z książek o zwykłych pacjentach, ale ja jestem z innej parafii. W dniu, w którym Pan Bóg mnie stworzył, musiał być pod gazem.

Ostatnie powiedzonko tak mu się spodobało, że zatrzymał się na chwilę, jakby je chciał silnie wryć w pamięć dla wykorzystania w bardziej odpowiedniej sytuacji. Zapadła cisza, w tym gabinecie rzecz dość rzadka. Paradziejewicz bał się ją zamącić. Nie podniósł nawet ręki, choć miał ochotę przetrzeć oczy, które — nie wiadomo dlaczego — zaczęły mu od kilku minut wilgotnieć.

— Może pana znudziłem — odezwał się wreszcie Gorwał spokojniejszym tonem — ale warto, żeby pan mógł myśli przetrwać. Mogą się przydać. Pan dzisiaj wraca?

— Tak... To znaczy... jutro... — Paradziejewicz poczuł, że się czerwieni.

Gorwał nie zwrócił na to uwagi. Zresztą nie zwracał uwagi na nic, co nie dotyczyło się jego osoby bezpośrednio.

— Niech więc pan powie Dobiaszowi, że nominację ma już w kieszeni.

— Jak to?

— Oczywiście mówię obrazowo. Formalności muszą przecież potrwać jakieś trzy dni. Tam jest Wieczko, prawda? Znam go, znam aż za dobrze. Mięczak, neurastenik, gaduła. Zresztą, w razie czego...

Przerwał mu sygnał telefonu. — Proszę, pani Tereso, żeby mi nie przeszkadzać. Za kilka minut będę wolny.

Chciał odłożyć słuchawkę, gdy jakiegoś słowa sekretarki sprawiło, że zmienił zamiar.

— Co? Kto? Aha, wiem, wiem... Trudno... Niech wejdą. Ale niech im pan powie, że jestem bardzo zajęty. Mogę im poświęcić najwyżej dziesięć minut. I na przyszłość powinni mnie uprzedzać o swoich wizytach przynajmniej na dzień wcześniej. Nie mam zamiaru stosować się do ich zachcianek.

Odłożył słuchawkę, zwrócił się do Paradziejewicza:

— Pan teraz przejdzie do sekretariatu. Mam tu pewną sprawę, ale odwołuję ją szybko. Potem pan wróci i poda mi niezbędne dane faktyczne. Na razie to wszystko — zakończył po nawołaniu.

W drzwiach Paradziejewicz rozmyślał się z dwoma panami. Oszołomiony rozmowa z Gorwałem, właściwie zaś jego monologiem, nie spojrzał na ich twarze. Zaskoczyło go tylko, że obydwaj byli w płaszczach. Oceniał to jako nietakt. I osoba wielkiego Gorwała i olbrzymi gabinet nie upoważniały nikogo do wchodzenia w wierzchniej odzieży.

Gdy za dwoma interesantami zamknęły się drzwi, pani Teresa wskazała mu uprzejmie krzesło.

— Może pan tu zaczeka. W poczekalni aż roi się od potentów. Ucieszył się, że jest tu przyjmowany na wyjątkowych prawach. Mimo to usiadł skromnie w kacie. W sekretariacie panowała cisza, pozwalająca mu wyciągnąć wnioski z nie zakończonej jeszcze wizyty.

— Ten człowiek tak wierzy w swojego Dobiasza, że może to i lepiej, że nie wysunął żadnych obiekcji. Facet jest jeszcze bardziej apodyktyczny od Dobiasza. Ale to jest ktoś. Gruba fisza. Jak się takiego ma za sobą, nie przegra się żadnej partii.

Spiął na niego spokój. Zapomniał nawet o prześladowającej go od pewnego czasu reze Wieczki. Cóż zresztą znaczyła drżąca ręka w porównaniu z mocnymi dłońmi Gorwała.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się. Do sekretariatu wszedł teraz trzeci człowiek. Tym trzecim był Gorwał. Miał na sobie płaszcz podobnie jak jego goście. Podszedł do pani Teresy, pochylił się nad jej biurkiem, szepnął kilka słów. Młodszy z dwóch potentów stał przy nim blisko. Starszy rozglądał się z obowiązkową miną wokół. Po czym wszyscy trzej skierowali się ku wyjściu. Paradziejewicz zdażył podejść do Gorwała i zapytać, czy długo ma czekać. Gorwał zdawał się go nie widzieć.

Po ich wyjściu Paradziejewicz spojrzał na panią Teresę. Siedziała za biurkiem jak zahipnotyzowana. Zbliżył się do niej.

— Przepraszam, czy pan prezes przedko wróci?

— Co? — robiła wrażenie, jakby się przebudziła z ciężkiego snu — Nie wiem... nie wiem...

I nagle, nie wiadomo dlaczego, pani Teresa zaczęła szlochać krótkimi, konwulsyjnymi spazmami.

Fragment powieści „Listu gończego nie będzie”, która już wkrótce ukaże się nakładem Wyd. Łódzkiego.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

Małżeństwo

O ileż szczęśliwszy jest związek ziemi ze śniegiem

O takim małżeństwie marzą śmiertelni

Nie ma tu kłamej gwałtowności
Biorą się w posiadanie spokojnie
przykryci tylko skrzydłem wrony
Nie odwracają się do ściany lasu
Kochają się do promienia

W dzień pilnują cudzych pól
zapatrzeni w siebie jak w tęczę

Najeżdźca

Na krótko przed rocznicą naszych zaślubin
dopadłem do miłości z pazurami.

Rwałem na strzępy noce
pocałunki i uniesienia.

Nic nie zostało do obrony.
Najeżdźca na własny dom

celowałem dokładnie.

Dotąd stałem nad tobą
aż ze słowa wyleciała

ostatnia kropla krwi.

Niszcząc po drodze
najmniejszą trawkę

odkopałem między mną a tobą

obcy las.

Miłość

Nie puch, który w chmury wleża
zdmuchnięty z dmuchawca pogodny.

Miłość nasza przebaczenie
wieczne na miłość czekanie.

W rozchyleniu kolan nasze Łąki
potu kropla na czoło

Sól

Aż brzoza się rozwidnia na powitanie,



baczy tam przypadkiem odwróconej ku dołowi drugiej połowy karty. Na szczęście szybko opanował tę idiozynną zachciankę. Zadowolili się obserwowaniem górnej połowy ciała wielkiego Gorwała. W tym momencie górna połowa trzęsła się jak galareta. Paradziejewicz nie mógł pojąć, co Gorwał tak rozbawiło. To, co powiedział, nie było wcale do śmiechu. Tymczasem Gorwał zachowywał się, jakby usłyszał znakomity dowcip.

— Kwalifikacje? — rechotał — a ktoś się dzisiaj przejmuję kwalifikacjami? Czy nigdy nie zwróciło pana uwagi, że tak zwani fachowcy są z zasady pozbawieni polotu? Że boją się najmniejszego ryzyka? A dlaczego? Bo oni wiedzą. Wiedzą i ani na krok nie odejda od tych swoich wykutych wiadomości. Nadmiar wiadomości potrafi zaciemniać każdy horyzont. I to jeszcze jak. Toteż w życiu decydują nie kwalifikacje, ale charakter. Siła woli. Świadomość tego, czego się chce i że potrafi się to zrealizować. Mam oczywiście na myśli ludzi, od których zależy decyzja, nie jakichś tam matolek z niższych szczebli. Ci niech sobie mają kwalifikacje, i tak im to niewiele pomoże.

— Całkowicie zgadzam się z panem prezesem, ale... — Paradziejewicz usiłował wykorzystać nieoczekiwaną pauzę w monologu Gorwała, ten jednak zdawał się go wcale nie słyszeć.

— Jeżeli czuję, że daną sprawę należy przeprowadzić tak i tak, bez zwłoki przeprowadzam ją właśnie tak, a nie inaczej. Zbytnią znajomość przedmiotu odkrywa w nim przeróżne aspekty. Często wręcz sobie przeciwne. W ten sposób w tak zwanym fachowcu zaczynają się budzić wątpliwości. Zaczyna się wahać. I co otrzymujemy w rezultacie? Pytam, co? — ponieważ Paradziejewicz nie umiał sobie poradzić z odpowiedzią na to pytanie, Gorwał odpowiedział za niego: — Otrzymujemy gówno.

Paradziejewicz rozsunął dłonie. Tym gestem chciał podkreślić całkowitą solidarność z opinią i terminologią Gorwała.

— Wracając do naszej sprawy — ciągnął niezmordowany król piko-

stało przewidziane. Nawet to, że któregoś z was może w międzyczasie szlag trafić.

— Dorybskiego — podsunął uprzejmie Paradziejewicz.

— Jego czy pana, dla mnie to ganczał. Bo napróżd jest idea. Rozumie pan? Idea. Dopiero potem przychodzi kolej na realizację. Gdy nie ma idei, nie ma czego realizować. Ale i sama idea nie przedstawia żadnej wartości, dopóki nie znajdują się odpowiedni realizatorzy. Jasne, prawda? Otóż niech pan przyjmie do wiadomości, że do tej idei lepsze go realizatora niż Dobiasz ja nie znajduję. To jest człowiek z polotem i zarazem człowiek, który wie czego chce. Połączenie pedanterii i wyliczeń. Zna pan na pewno to jego A. B. C. D?... i fantazji działania. Wiem, wiem, co pan chce powiedzieć — rzucił szybko, chociaż oszołomiony jego elokwencją Paradziejewicz bynajmniej nie chciał nie powiedzieć. — Boi się pan, że ta fantazja może go czasem ponieść. Otóż nie. Nie ponieść. Nie ma obawy. A dlaczego? Bo na szczęście istnieje niejaki Gorwał. Wprawdzie daleko. O kilkadziesiąt kilometrów. Ale istnieje, wszystko wie i czuwa — ostatnie słowo powtórzył, skandując rytmicznie — czuwa...

Wsluchał się w melodię tych dwóch sylab, po czym wciągnął do płuc świeży zapas powietrza i powrócił do prozy:

— Ja Dobiasza znam, jak swoje pięć palców. Znam jego zalety i wady. A jeśli zna się człowieka wady, tym samym te wady przestają być groźne. Niebezpieczny jest człowiek, którego wad się nie zna. A dlaczego? Bo taki może zawsze wystrzelić czymś nieoczekiwanym.

— Boże! — przemknęło przez myśl Paradziejewicza — czy ten człowiek nigdy się nie zmęczy?

Okazało się, że nigdy, gdyż po chwili z ust Gorwała popłynęła nowa kaskada.

— W ogóle na ludzi nie ma przepisów. Każdy człowiek jest inny. Określenie jednego człowieka przy pomocy paragrafów sprawdzonych na kimś innym zawsze prowadzi na manowce. Na przykład ja. Mój doktor zaleca mi różne tam pigułki, spacer, poranna gimnastyka, i diablę wiedzą, co jeszcze w tym rodzaju. Czy ma rację? W pewnym sensie



Listy Dostojewskiego

Manfredini Vito. Akt.

Kawaler różanego krzyża

Wątek romansowy, mający w zamierzeniu autorki ożywić fabule, wypadł dość blade, Antonina Welz, druga żona Rembielińskiego, w świetle powieści stała się niemal Egeria warszawskiego życia kulturalno - literackiego, choć

Przy tych wszystkich krytycznych uwagach, jakie się tu wymieniło, nie można nie docenić najistotniejszej wartości powieści Bienkowskiej, jaką jest próba przybliżenia współczesnemu czytelnikowi sylwetki zapożnanego ekonomisty minionej epoki, człowieka o wybitnych zdolnościach organizacyjnych i na wskroś nowoczesnym poglądzie na sprawę urbanizacji, tak nieodzownym w ówczesnych trudnych warunkach społeczno-politycznych. „Jak wielu Polaków, którzy nie zabzyli na polu bitwy, ani nie wstawili się twórami pióra, lecz przez całe życie zabiegali o rozwój gospodarki narodowej, nie doczekał się Rembieliński pomnika i obszerniejszej biografii” — pochwala autorka. Nie negując potrzeby wyczerpującej monografii o Rembielińskim, jakże słuszną jest uwaga Bienkowskiej o potrzebie ufundowania (dodajmy: w naszym mieście) pomnika tego zasłużonego dla Łodzi człowieka. Powinny o tym pomyśleć nasze władze municipalne.

*) Danuta Bieńkowska: *Kawaler różanego krzyża*. Łódź 1966. Wydawnictwo Łódzkie. s.

WIZYTA
u Bronisława
ZIELIŃSKIEGO

— Tak, to byłoby już na zasadzie Pana Jowialskiego...

ROZMAWIAŁA:
ELŻBIETA KURKOWSKA

ROZMAWIAŁA:
ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Najważniejsze Niest „OKIENKO”

Tadeusz Minc, naczelny reżyser Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego z pewnością znany jest naszym Czytelnikom, jako realizator wielu interesujących spektakli teatru TV. Problemy tego teatru o największej w Polsce widowni były też przedmiotem rozmowy, jaką przedstawił „Odgłosów” odbył z ambitnym artystą.

ODGŁOSY: Czy mógłby Pan przypomnieć, jak wyglądał Pana pierwszy reżyserski flirt ze szklanym ekranem?

T. MINC: Było to, jeżeli sobie dobrze przypominam, w lutym 1963 r. Całkiem nieoczekiwanie zaproponowano mi wyreżyserowanie w telewizji sztuki Brechta „Pan Puntilla i jego służa Matti”. Na szczęście jestem także aktorem, w przeciwnym razie nie wiem, jak by się skończyła ta przygoda: warzyta telewizyjny jest przecież tak odmienny od teatralnego. Ale musiało to wypaść chyba nieźle, skoro otrzymałem za tę realizację nagrodę Prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji.

ODGŁOSY: Sukces tego telewizyjnego debiutu przesadził chyba o Pana mariażu z TV.

T. MINC: Jestem bigamista, nie porzuciłem przecież teatru dramatycznego i ze względu na przywiązanie do literatury nigdy się z nim nie rozstałem. Ale teatr telewizyjny pociąga mnie w równym stopniu, choćby ze względu na jego odmienną, Spektakl telewizyjny jest czymś zupełnie innym niż nawet ten sam spektakl wystawiony na scenie. Rozstrzyga o tym jednorazowość realizacyjna i montaż. A także powszechność odbioru. Jeden spektakl telewizyjny ma przecież większą widownię niż cały sezon teatralny. To są aktywa. Istnieją także pasywa: w telewizji w nieporównywalnie większym stopniu, niż to się dzieje w teatrze, reżyser uzależniony jest od techniki. Stan bazy technicznej w poważnym stopniu rzutuje na poszukiwania realizacyjne.

ODGŁOSY: Czy można by więc powiedzieć, jakimi to cudami techniki może się pochwalić Łódzki Ośrodek Telewizyjny?

T. MINC: Pracuję w LOT za krótko, aby to stwierdzić zupełnie autorytatywnie, ale o ile mi wiadomo modernizacja konsekwentnie omija mury naszego wieżowca. Wystarczy chyba jeśli powiem, że nie posiadamy nawet kamery do zdjęć stuopentowych. To nas praktycznie zmu-

sza do realizowania wszystkiego w studio, choć teatr telewizyjny niejednokrotnie wymaga wyjścia w plener. Radzimy sobie poprzez dokrętki filmowe nie najlepszej zresztą jakości, gdyż realizowane na taśmie 16 mm. Są one rzecz jasna nieme, choć maskujemy to przed widzami poprzez na żywo robione postsynchrony. Nie możemy wykorzystać sceny plenerowej w takim stopniu, jak robi to choćby telewizja warszawska, gdyż wymagałoby to zaangażowania środków technicznych, które tak dotąd leżały tylko w sferze naszych marzeń. Zresztą praca u nas wymaga nieustannej ekwilibrystyki. To naprawdę nie takie proste zgromadzić w studio kilku aktorów i to bez mała w porę, gdy w teatrach dramatycznych podnosi się właśnie kurtyny. Spektakle nasze realizowane są na żywo, nie mamy urzędzenia do zapisu na taśmie telerecordingu, toteż o obsadzie aktorskiej rozstrzyga niekiedy wolne „okienko”.

ODGŁOSY: Czy stan bazy technicznej rzutuje także na sprawy repertuarowe?

T. MINC: Związek pomiędzy nimi jest zupełnie oczywisty. Niejednokrotnie trzeba rezygnować z wielu realizacji, gdyż nasza baza techniczna nie udźwignie wymagań, jakie immanentnie związane są z określoną inscenizacją. Proszę pamiętać, że wychodzimy na antenę po czterech próbach kamerowych, innymi słowy po szesnastu godzinach przygotowań. Tyle samo czasu mamy na przygotowanie spektaklu półtoragodzinnego i spektaklu kilkudziesięciominutowego, co dzieje się ze szkoda dla tych pierwszych. Wreszcie, tak już wspominałem, możliwości studia są dość ograniczone. Sądze, że w przyszłości film telewizyjny będzie odgrywał większą rolę niż teatr na żywo i już dziś choćby brak kamery do zdjęć stuopentowych hamuje nasze możliwości rozwojowe w zakresie montażu. To zresztą jest tylko jeden aspekt tej sprawy.

Otóż repertuar planuje się u nas ręką napróżd, ale rzadko te plany sprawdzają się na antenie, rynek scenariuszowy jest bowiem bardzo ubogi. Zmusza to nas do różnych adaptacji, co także nie jest sprawą łatwą, gdyż ze względu na ograniczone możliwości dewizowe musimy często rezygnować z przeniesienia na ekran telewizyjny wielu wartościowych pozycji zagranicznych. Na tym zresztą nie koniec naszych kłopotów, jesteśmy bowiem także dość upośledzeni w prawach zamawiania

oryginalnych scenariuszy telewizyjnych u autorów krajowych: inicjatywę w tym zakresie ma przede wszystkim Warszawa. Otrzymałbym jednak obietnicę, że w najbliższym czasie przynajmniej to ostatnie ograniczenie przestanie nas dotyczyć.

ODGŁOSY: Czy w atmosferze podobnej szamotaniny można mówić o określonym modelu artystycznym i ideowym łódzkiego teatru TV?

T. MINC: Od początku swego istnienia teatr TV wziął sobie za zadanie spopularyzowanie literatury klasycznej. Nie wszystkie próby w tym zakresie były udane, niedłonie adaptacje zubożyły w najważniejszym stopniu oryginalnym. To jest zresztą pułapka nieustannie na nas zastawiona, gdyż tylko wyjątkowo dysponujemy scenariuszami napisanymi specjalnie dla telewizji, uwzględniającymi technikę widowiska telewizyjnego.

W pierwszym okresie teatr miał nawet swoją nazwę. Jego reżyser, Antczak, prowadził bardzo wartościowe poszukiwania, które wiele znaczą w historii naszej TV, ale rzecz jasna nie możemy ich bez końca powielać. Dziś nazwa Teatr Popularny wychodzi coraz bardziej z użycia, nowego miana nie nadała nam ani krytyka, ani centrala. Jest to zresztą całkiem zrozumiałe, gdyż rzeczywiście trudno w tej chwili mówić o jakimś wyraźnym sprofilowaniu naszego teatru. Wiadomo tylko, że musimy łączyć wymagania odpowiednio wysokiego poziomu artystycznego z możliwościami percepcyjnymi milionów widzów, wystrzegać się eklektycyzmu i dążyć do jednolitości ideowej i artystycznej. W gruncie rzeczy więc poszukiwania modelowe nie ustają i są one równie aktualne jak w chwili startu.

ODGŁOSY: W jakim kierunku zdaniem Pana powinny pójść te poszukiwania modelowe, aby teatr o największej widowni był również teatrem najwzruszających lotów?

T. MINC: Wydaje mi się, że teatr taki powinien być o wiele mocniej osadzony w rzeczywistości, silniej określony przez znaki naszego czasu. Poszukiwania warsztatowe powinny może pójść w tym kierunku, który tyle chwytliwie przyniósł nowej fall w filmie czeskim. Ale telewizja jest bardziej literacka niż film, jest o wiele bardziej zależna od słowa. Gdyby to więc ode mnie zależało zaprosiłbym do współpracy najlepszych pisarzy polskich i dopiero w oparciu o współczesne, oryginalne scenariusze stworzył teatr godny tak ogromnej i jednocześnie tak chłonnej widowni: teatr, który byłby nie tylko rozrywką, ale teatr, który ułatwiałby przeciwnemu człowiekowi poruszanie się po mało jeszcze dostępnych obszarach sztuki współczesnej, a tym samym uczył go dostrzegania urody, dramatyzmu i złożoności naszej epoki. Jednym słowem, teatr, który porusza umysły i serca.

ROZMAWIAŁ:
KONRAD FREJDICH

LESZEK ST. RUDNICKI

„DYZM A” znad Dunaju



Zb. Płoszaj i K. Iwiński
Fot. Fr. Myszkowski

Gdyby ktoś zdobył się na odwagę i spróbował usystematyzować tematy literackie, dramatyczne, okazałoby się, że obawa przed tym, zda się, gigantycznym zadaniem, jest płonna. W gruncie rzeczy nie ma ich tak wiele w obiegu. Są jedynie rozmaite ich warianty. Jednym z najczęściej poruszanych, stała się bez wątpienia — kariera. Kariera błyskawiczna, oszałamiająca. Jednym słowem, temat Nikodema Dyzy, jako postaci w naszej literaturze najpopularniejszej w tej dziedzinie.

„Dobrze skrojony frak” jest jeszcze jednym wariantem tego tematu. Przy czym od razu zaznaczyć trzeba, że Nikodemowi Dyzy nie daleko do gracji i wdzięku jaki cechuje jego sobowótora znad Dunaju. W porównaniu z nim, przypomina raczej ciężkożobroję piechurą armii „Pleniadzi”. Obie te postaci mają jednak cechy wspólne i to bardzo wyraźne. Srodki jakimi się posługują choć na pozór różne, w gruncie rzeczy są niemal te same. W sztuce Dregely’ego metoda jest tylko pokazana przy pomocy pewnego uproszczenia, ów dobrze skrojony frak jest jej wykładnią.

Zostawmy jednak te rozważania. Jerzy Jurandot w wypowiedzi umieszczonej w programie spektaklu mówi: „...jest to sztuka czysto rozrywkowa, nie należy w niej szukać drugiego dna, ukrytych głębi, nie trzeba się dopatrywać żadnych aluzji”. Traktujmy ją więc w ten sposób, a możemy to chyba zrobić ze spokojnym sumieniem.

Jest w postaci Melcera (owego naddunajskiego Dyzy) pewna niekonsekwencja. Chce się go widzieć jako naprawdę dużej klasy szelme. Okpiświata, który z masy, nie swoich zresztą, filozoficzno-ekonomicznych frazesów, potrafi wyciągać sens istotny. Zaczarowany „klucz” w postaci fraka, który otwiera przed nim inny, nowy i fascynujący świat wielkiej finansjery, zawrotnych fortun, pięknych kobiet i nieograniczonych możliwości. „Klucz” który pozwala mu wejść w ten świat, przeistaczać zarazem jego samego, czyniąc go podobnym do ludzi zamkniętych w tym zaczarowanym kręgu pieniędzy.

Tymczasem obserwując Melcera od pierwszych scen, nie widzi się tego. Można raczej odnieść wrażenie, że to jakiś udzielnny książę zabawia się incognito dla jakichś, sobie tylko wiadomych powodów, w czeladniku krawieckiego. Nie widać momentu przeobrażenia się tej postaci. Zarazem trzeba jednak przyznać, że Zbigniew Płoszaj pokazał w tej roli aktorstwo dużej klasy. Poseł, a później minister Melcer, w jego wydaniu był bezbłędny. A skarżono się kiedyś w gronie recenzentów, że dzisiejsi aktorzy nie potrafili już grywać arystokratów, jak to drzewiej bywało.

Nie sposób także zapomnieć tutaj o najlepszej chyba parze komediowej jaką dysponuje Łódź — Lenie Wilczyńskiej i Jerzym Cwiklińskim. Fabrykant Reiner i jego małżonka, nawet pomimo mocno przesadzonej, choć przebarwionych kostiumów automobilistów, dali się poznać widzowi od najlepszej strony. Sekundował im dzielnie Jerzy Walczak w roli doktora Torna, akademickiego niezguły, a potem rogala-pasionata.

Jakże widz, śledzący uważnie tę migotliwą mozaikę nadzwyczaj zróżnicowanych typów ludzkich, ma uwiaryć słowom współtwórcy sztuki, J. Jurandota, kiedy niemal każde słowo, każda kwestia zmusza go do zastanowienia. Satyra, żeby była nie wiem jaka, musi być przecież ukierunkowana. Nie oszukujmy się.

„Dobrze skrojony frak” nie jest zabawa dla zabawy. To komedia mądra, niosąca duży ładunek satyryczny, skierowany w pierwszym rzędzie na mieszczański snobizm, kabotyństwo i obłudę maskującą wielkimi słowami wady tak pospolite jak egoizm i zachłanność. Jednym słowem komedia, jakiej brak wyraźnie dawał się odczuć w repertuarze łódzkich teatrów.

Sztukę Gabryela Dregely’ego opracował na nowo i dopisał piosenki wymieniony już Jerzy Jurandot. Na chwałę zespołu zaznaczyć trzeba, że wypadły one na ogół dobrze, co znów nie tak często się zdarza. Zastanawia mnie natomiast co innego. Ani rusz nie mogę rozgrzeć sensu i znaczenia, może jestem zbyt tępy, owych scenek pantomimicznych na początku każdego aktu, a związanych ze zmianą umieszczonych na proscenium mebelków. Ceremonia ta rozbija jedynie tempo akcji, nie wnosząc absolutnie nic. Poza tym i wymienionym już zastrzeżeniem co do postaci Melcera, mam także niejaki opór odnośnie niektórych, drobnych już scenek, jak na przykład przy świetnie wykonanej przez Mirosławę Marcheluk piosence, gdzie ni stąd ni zowąd znalazła się w jej rekach lalka ości meskiej. A raczej, nie ni stąd ni zowąd, lecz z zastawionego obficie stołu. Wydaje się, że reżyseria p. Irmy Czaykowskiej w tych kilku, przynajmniej niektórych momentach, obniżyła lot.

W atmosferę spektaklu doskonale utrafił Henri Poulain, tworząc scenografię interesującą, współgrającą w pełni z atmosferą i charakterem spektaklu. Chcąc zaś w jakiś sposób zebrać owe zapiski na marginesie „Dobrze skrojonego fraka”, mogę jedynie polecić łódzkim widzom ten spektakl, gwarantując doskonałą zabawę i to na wysokim poziomie.

Teatr „7.15” — druga scena Teatru im. S. Jaracza — Gabryel Dregely — „Dobrze skrojony frak” — opr. i piosenki J. Jurandot — reż. Irma Czaykowska — scenogr. H. Poulain — premiera — styczeń 1967 r.

Gest człowieka

Dalszy ciąg ze str. 5

żemy dziś z całą pewnością mieć charakter autopoowiedzi, że był autorem awangardowym, chociaż jego współczesność nie zdawała sobie z tego wcale sprawy. Sądze, że Ionesco wiele mu zawdzięcza i że faktycznie jest jego kontynuatorem. Najtrudniejszą rzeczą w sztuce jest mówienie o współczesnej twórczości, zwłaszcza dziś, kiedy nasze życie przybrało tak oszałamiające tempo. Pewien stary rzeźbiarz polski na pytanie: jak się robi sztukę — odpowiadał, że przez wczuwanie się w czas, poprzez tropienie czasu. Miał rację. To właśnie winno być, jak sądzę, fundamentem postawy artysty wobec rzeczy wistosci. Jednak to właśnie jest coraz trudniejsze w miarę przyspieszania tempa naszego życia.

(...) Innym ważnym elementem naszego życia kulturalnego jest fakt, że środowiska studenckie rozwijają bardzo żywą i poważną działalność teatralną i filmową. Zdarza się często, że zawodowcy sięgają do ruchu studenckiego, by znaleźć w nim świeżość i atmosferę poszukiwań. Zespoły studen-

ckie mają charakter autopoowiedzi. Autorzy tekstów awangardowych, chociaż jego współczesność nie zdawała sobie z tego wcale sprawy. Sądze, że Ionesco wiele mu zawdzięcza i że faktycznie jest jego kontynuatorem. Najtrudniejszą rzeczą w sztuce jest mówienie o współczesnej twórczości, zwłaszcza dziś, kiedy nasze życie przybrało tak oszałamiające tempo. Pewien stary rzeźbiarz polski na pytanie: jak się robi sztukę — odpowiadał, że przez wczuwanie się w czas, poprzez tropienie czasu. Miał rację. To właśnie winno być, jak sądzę, fundamentem postawy artysty wobec rzeczy wistosci. Jednak to właśnie jest coraz trudniejsze w miarę przyspieszania tempa naszego życia.

Nie sądzę, by podział na teatr eksperymentalny i zwykły, odpowiadał rzeczywistości. Jest to podział akademicki i konserwatywny. Istnieją u nas zespoły uprawiające teatr, który można by nazwać eksperymentalnym, w tym sensie jednak, że gra się tam również klasyków, choć w nowym kształcie ekspresyjnym. Jednym z takich zespołów, chyba najbardziej „typowo” eksperymentalnym jest „Teatr 13 rzędów”. Grotowski jest jego kierownikiem i jedynym reżyserem — praktycznie teatr ten podporządkowany jest całkowicie osobowości swego reżysera.

Tłumaczyła M. K.

Redakcja „ODGŁOSÓW”, stosując od dawna zasadę: „audiatu et altera pars” nie brała, niestety, pod uwagę ostawionej polskiej zapalczywości. I tak oto, w artykule prof. Z. Skwarczyńskiego „O pomnik Reymonta” znalazły się sformułowania, wykraczające poza obyczaje przyjęte w polemice. Stało się to i przez niedopatrznie redakcji, za co szczerze przepraszamy szanowanego łódzkiego literaturoznawcę Mariana Piechałę.

A w przyszłości redakcja nawet do pięknych maksym Seneki będzie podchodziła z ostrożnym sceptycyzmem.

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR

NOWY	„Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 2 spektakle	1400 — 100%
	„Sonata Beizebuba”, 3 spektakle	1200 — 60%
NOWY MAŁA SALA	„Śluby panińskie”, 4 spektakle	800 — 100%
	„Ojciec”, 1 spektakl	200 — 100%
POWSZECHNY	„Kartoteka”, 1 spektakl	200 — 100%
	„Anioł na dworcu”, 1 spektakl	200 — 100%
JARACZA w Teatrze ROZMAITOŚCI	„Mocne uderzenie”, 2 spektakle	1180 — 90%
	„My fair lady”, 3 spektakle	1967 — 98%
7.15	„Pies ogrodnika”, 4 spektakle	2671 — 100%
	„Namiestnik”, 4 spektakle	2532 — 100%
TEATR WIELKI	„Biała diablina”, 4 spektakle	2072 — 82%
	„Dobrze skrojony frak”, 4 spektakle	1684 — 100%
TEATR WIELKI	„Kniaź Igor”, 1 spektakl	1276 — 100%
	„Straszny Dwór”, 2 spektakle	2552 — 100%
TEATR WIELKI	„Halka”, 2 spektakle	2552 — 100%
	„Carmen”, 1 spektakl	1276 — 100%

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



WYSTAWA SZTUKI MAJÓW

W Strasburgu we Francji, otwarta została wielka wystawa sztuki Majów. Wystawa ta przewieziona zostanie jeszcze do kilku miast francuskich, a następnie do Paryża.

Majowie są Indianami grupy językowej mayskiej, zamieszkującymi półwysp Jukatan w Ameryce Środkowej. Stworzyli oni wysoką kulturę, której rozkwit przypadał na V-XV w. Wystawa w Strasburgu zgromadziła 250 eksponatów pochodzących z różnych epok, a więc z tak zwanej przedklasycznej (2000-1500 lat przed n.e.), z klasycznej (200-500 lat naszej ery) i pokla-

sycznej (od roku 800 aż do końca XV wieku, gdy kultura ta zaczęła ulegać wpływowi Azteków). Ekspozycje przywiezione głównie z Gwatemali, część wypożyczono z różnych muzeów Europy. Przedmioty znajdujące się w posiadaniu Europejczyków częściej pochodzą z kradzieży. W Gwatemali najcenniejsze zabytki sztuki Majów znajdują się w głębi gęstych lasów, gdzie prawie przez cały rok pada deszcz. Toteż władowo trudno jest upilnować cenne skarby architektury i sztuki przed „szabrem”. Oprócz tego Gwatemala nie jest w stanie rewidować zabytków skradzionych zabytków, gdyż przyjeżdżają przez UNESCO

odpowiednia konwencja nie jest jeszcze gotowa. Bywa, że niektóre muzea same zwracają skarby Majów Gwatemali. I tak np. w muzeum w Kopenhadze znajdowała się część zabytkowego ołtarza Majów, Kopenhaga oddała eksponat Gwatemali, a władze poczęły ścigać złodziei.

Wystawa, która budzi ogromne zainteresowanie, pokazana będzie w Nantes, Chambéry, Marsylii, Bordeaux, a następnie w stolicy Francji.

CENZURA ZABRONIŁA WYSTAWIENIA SZTUKI PT. „MARIANA PINEDA”

Hiszpańska cenzura teatralna zabroniła wystawienia sztuki Garcii Lorci. Po sztukach tego autora „Yerma” (Bezplodna), „La zapatera prodigiosa” (Czarująca szewcowa), „Boda de sangre” (Krwawe Gody) i „La casa de Bernarda Alba” (Dom Bernardy Alba) reżyser Alfredo Manas przygotował dramat pt. „Mariana Pineda”, który przed trzydziestu laty grany był w teatrze w Madrycie. Tym razem jednak cenzura teatralna nie dopuściła sztuki na scenę. Bohaterką dramatu Garcii Lorci jest historyczna postać dziewczyny, która w latach trzydziestych ubiegłego wieku, w czasie wojny domowej, skazana została na śmierć przez monarchistów za to, że wyszyła sztandar republikanów. Reżyserowi oznajmiono



Federico Garcia Lorca w 1933 r., jako kierownik studenckiego teatru wędrownego „La Barraca”.

no, że sztuka Garcii Lorci może być wystawiona, jeżeli Mariana Pineda zamiast sztandaru republikańskiego wyszyje monarchistyczny.

W STO TRZYDZIESTA ROCZNICĘ ŚMIERCI PUSZKINA

Sto trzydzieści lat temu, w dniu 10 lutego 1837 roku, zginął w Petersburgu w pojedynku, wielki poeta rosyjski Aleksander Siergiejewicz Puszkina. Prasa radziecka poświęca wiele miejsca tej rocznicy. I tak np. „Literaturnaja Rosija” w numerze z dnia 10. II. br. zamieszcza interesujący materiał o życiu i twórczości wielkiego poety, historii wydań jego dzieł, wiersze oraz rysunki bądź bezpośrednio związane z postacią Puszkina i jego najbliższych bądź będącymi ilustracjami scen z dzieł poety. W numerze znajdujemy także wypowiedzi wybitnych ludzi pióra, od Gogola do Pasternaka, o Puszkynie, jego twórczości i wkładzie wielkiego poety rosyjskiego do historii literatury i kultury.

RADZIECKI JAZZ

„Jazz jest jednym z najbardziej dziś popularnych rodzajów sztuki. Raczej poważnym niż rozrywkowym” — pisał L. Gerasimowa w numerze 2 z 1967 r. radzieckiego dwutygodnika „Smiena”. Jazz — pisze dalej autorka — ma swoją historię i swoje prawa, istnieje niemal tyle lat co sztuka filmowa, jest jak ona dostępny i popularny, a ze względu na atrakcyjność swego oddziaływania równać się chyba może jedynie ze sportem. Jazz to zjawisko skomplikowane, kontrowersyjne. Jazz ma swych zwolenników i przeciwników, a w niezmiennie krótkim czasie przeszedł kilka stadiów swego rozwoju. Następnie Gerasimowa omawia dyskusję, jaka odbyła się w redakcji na temat jazzu z grupą, uprawiających ten rodzaj twórczości muzycznej. Dla radzieckiego jazzu ważnym elementem rozwojowym był udział zespołu, którego kierownikiem był Jurij Siergiejewicz Saulskij na Międzynarodowym Festiwalu Jazzu w Paryżu w roku 1965. Wraz z zainteresowaniem jazzem sprawiła, że po pierwszym festiwalu moskiewskim w roku 1962, w roku 1966 odbyły się trzy festiwale jazzowe w Leningradzie, Tallinie i Moskwie. Przedsiębiorstwo „Melodia” wypuszcza na rynek płyty z radzieckim jazzem, który zdobywa sobie coraz więcej zwolenników. Charakterystyczne, że do zespołów wstępują nie tylko zawodowi muzycy, ale amatorzy — samoucy, którzy częstokroć nie ustępują zawodowcom. Czy jest w Związku Radzieckim szkoła muzyczna przygotowująca do muzyki jazzowej? Tak. Jest to uczelnia typu konserwatorium, 4-letnia, przygotowująca muzyków dla zespołów jazzowych i tanecznych.



POLONICA

NAGRODY LITERACKIE

Nagrody za najlepsze książki zagraniczne zostały w Paryżu przyznane dwóm pisarzom. Jednym z nich jest George D. Painter, który otrzymał nagrodę za dwutomowe dzieło pt. „Marcel Proust”, drugim jest Peter Härtling, który napisał powieść pt. „Niemsch albo niewzruszalność”.

George D. Painter jest Anglikiem. W zeszłym roku wydał pierwszy tom monografii pt. „Marcel Proust”, który wywołał wielkie zainteresowanie we Francji. Tom II wydany obecnie, obejmuje lata życia pisarza od roku 1903 do 1922.

Peter Härtling ma lat 34 i jest frankfurckim współwydawcą miesięcznika poświęconego prozie i poezji „Der Monat” oraz dyrektorem literackim jednego z niemieckich wydawnictw. Powieść Härtlinga mówi o życiu i twórczości wielkiego austriackiego poety romantycznego Niemscha.

(Franz Niemsch von Strehlenau, ur. 13.VIII. 1802 r., zm. 22.VIII.1850 r., znany jest w literaturze jako Nikolaus Lenau. Pozostawił wiersze liryczne, poematy oraz cykl tzw. pieśni polskich — Polenlieder.)

Brigitta Troitzig, szwedzka pisarka, otrzymała w Sztokholmie „Wielką Nagrodę Powieści” (15 tysięcy szwedzkich koron) za utwór pt. „Sveket” (Złoty kłopot).

POLONICA

TERESA WOJCIECHOWSKA

Tajemnice starego gmaszyska

Motto: Nie krzycz, nie biegaj — bo nie wytrzymamy.

Gmaszysko liczy 80 lat. Dużo to czy mało? Jak na zabytek architektoniczny może i nie wiele, ale na szkołę i to w dodatku artystyczną — stanowczo za dużo. Gmach przy ul. Jaraça 19 mieści dwie szkoły muzyczne: liceum i podstawowa, a także przedszkole muzyczne oraz Ludowy Instytut Muzyczny. Przy tym każda ze szkół traktować można jako dwie, są to bowiem szkoły ogólnokształcące z pełnym zestawem przedmiotów muzycznych. Z tego powodu młodzież przebywa w tym gmachu cały dzień — od godz. 8 rano do 9 wieczorem. Inaczej program ułożyć nie można, bo taki jest typ szkoły. W tym roku szkolnym liceum kształci 160 uczniów, szkoła podstawowa 541, przedszkole około 100. Jeśli nawet odejmie się od tego 100 uczniów uczęszczających do filii przy ul. Bednarskiej 42, to i tak jeszcze pozostanie ponad 700 młodzieży, ponad 200 osób personelu pedagogicznego i administracyjnego, 14 pracowników LIM oraz jego interesantów, nie licząc rodziców, którzy przyprowadzają swe pociechy. Przewijają się codziennie przez ten gmach pomyślny 80 lat temu jako dom mieszkalny dla spokojnych, bogobojnych mieszczan łódzkich.

Kamienica wielka, czynszowa, z wszystkimi konsekwencjami tego faktu. Wąskie, zimne korytarze (ogrzewanie piecami kafłowymi uniemożliwia utrzymanie równej temperatury), strome, kamienne schody, brak sali rekreacyjnej, brak boiska szkolnego, w ogóle brak miejsca, w którym dzieci mogłyby rozprostować kości. Zrobiono kiedyś eksperyment. Wyprawiono wszystkie dzieci podczas przerwy na korytarze. Nawet się zmieściły. Stały słoczono jedno obok drugiego, jak w tramwaju o godz. 16. O porzuceniu się nie było mowy. Tak więc przez cały dzień siedzą w nie wietrzonych klasach.

Na korytarzu wisi ogromny napis: „Nie krzycz, nie biegaj”. Dyrekcja wie, że to wbrew naturze, ale przecież bieganie nie można, bo o wypadku nie trudno. A hałas i tak tutaj dosyć.

W 1945 r. gmach przejął Ludowy Instytut Muzyczny. W 1951 r. powstały tu dwie szkoły: muzyczna i muzyczna z przedmiotami ogólnymi. W 1956 r. ta pierwsza przeniosła

się do pałacyku przy Pl. Zwycięstwa 1. Druga pozostała i zaczęła rozrastać się jako szkoła rozwojowa. Dopiero w ubiegłym roku zakończono jej rozwój. Więcej klas nie przybędzie. Można powiedzieć — na szczęście. Frontowy budynek „dawno” już przestał wystarczać, szkoła coraz głębiej wchodzi w otoczenie. Do pomieszczeń zwalniających przez prywatnych lokatorów. Prawdopodobnie zwalniają je chętnie. Sąsiedzi tak wielkiej i tak głośnej szkoły jest dla obu stron bardzo uciążliwi.

Pewnego dnia przybiegł do szkoły mężczyzna z siekierą w rękach i obłędem w oczach. Zabił, zamordował, zwałował, nie wytrzymał — wołał rozpaczliwie. Był to jeden z lokatorów. Nad jego mieszkaniem znajdowała się klasa perkusji. W trosce o jego nerwy i własne bezpieczeństwo klasę perkusji przeniesiono do innej sali. Pod którą mieszka lokator widać mniej nerwowo, bo nie interweniuje.

Do gabinetu dyrektora wchodzi się przez sekretariat. Zwycaj to dość powszechnie przyjęty i nie to mnie zdziwiło, lecz fakt, że drzwi sekretariatu, choć goziny były przedpołudniowe, zastałam zamknięte. Otworzone na pukanie. Właśnie odbywała się wypłata pensji. Od kiedy sekretariat, dla oszczędności miejsca połączono z księgowością i kasą, w dni wypłat dyrektor jest zamknięty na klucz. Bo w kasie są duże sumy.

Pojęcie księgowości z sekretariatem to tylko jeden z wielu najprzeróżniejszych zabiegów adaptacyjnych, dokonanych dla uzyskania jak największej liczby sal lekcyjnych. Jakże są efekty tych zabiegów? Klasy są na ogół ciasne. W wielu ławki ustawione wzdłuż i w poprzek (np. sala 108a). Ławki zsuwa się, by mógł wejść nauczyciel, potem rozuwa, by dzieci mogły usiąść. Nauczyciel stoi zablokowany między stołem, a tablicą i ma niewiele więcej miejsca niż jego wychowanek, gdy wszyscy jednocześnie wyjdą na korytarz.

Sala nr 104 (klatka z pianinami) zrobiona została z fragmentu korytarza. Sala nr 102 z fragmentu... ubikacji. „Komfort” nie musi być taki duży. W sali 101 ławki są tak ustawione, że w jednym szeregu siedzi czworo dzieci. Łatwo wyobrazić sobie zamieszanie jakie powstaje, gdy ten czwarty jest wywołany do tablicy.

Są i klasy większe, na przykład sala nr 110. Długa, wąska klasa, z jednym oknem, wychodzącym na północ. Przez cały dzień pali się tu elektryczne światło. Jak zresztą i w innych salach. Światła wszędzie tu za mało, nawet tego sztucznego. Nie chcę obciążać wyobraźni czytelnika kolumnami cyfr obrazujących niedobór światła na poszczególnych salach, obliczony według obowiązujących norm w luksach. Średnio oświeślenie powinno być o sto procent większe. Instalacje elektryczne nie wytrzymują wielkiego obciążenia. Oświetlenie jarzeniowe nie wszędzie można zakładać, świetlówki

wydają szum, uniemożliwiają prowadzenie zajęć.

Innym ewenementem tej szkoły jest tzw. przechodność sal. Wygląda to mniej więcej tak: świetlica (39 m kw.) jest salą wąską, wydłużoną, ciemną, okno wychodzi na ścianę sąsiedniej oficyny i śmietnik, jest także salą przechodnią. Przechodzi się przez nią do klasy przedmiotów ogólnych, a przez tę z kolei do pracowni robót ręcznych. Na innym piętrze — z sali rytmiki przechodzi się do klasy fortepianu. Jak na moje dyktando ucho nawet — nie zawsze to z sobą harmonizuje.

Tajemnica tych układów jest łatwa do rozszyfrowania. To oficyny, a w oficynach mieszkania miały układ amfildowy. Trudno mieć pretensje do budowniczych, że nie przewidzieli awansu, jaki spotka ich dom.

Przejmowanie pomieszczeń w oficynach wymaga przebijania murów. Więc je przebijają wchodząc w wąskie, długie korytarze co parę metrów zważane jeszcze framugami wyjściowych drzwi ze sterzającymi zawiasami. To, i jeszcze kamienica, śliska posadzka, różny poziom stropów i podłóg stwarzają ciągłe niebezpieczeństwo dla biegających (wbrew ostrzeżeniom) dzieci. Układa się nawet wzdłuż korytarza chodniki, ale to nie wiele pomaga. Przekonałam się na własnej skórze.

Kiedy w naszej wędrowce doszliśmy do III piętra, stanęłam zdumiona przed stromymi drabiniastymi schodami wiodącymi na IV piętro. Tylko wrodzona ambicja nie pozwoliła mi odmówić wejścia po tych schodach. „Ależ to nasza duma” powiedział dyrektor — „Założyliśmy je, żeby dzieci nie musiały przechodzić przez podwórko do klas na IV piętrze”.

Ale przechodzenia przez podwórko i tak nie udało się uniknąć. Sala gimnastyczna, przeobrażona ze starej olejarni, znajduje się w końcu podwórza. Przed lekcją gimnastyki dzieci biegają do szatni, przebijają się w płaszcze i buty, potem na sali gimnastycznej rozbiegają się znów, a po lekcji — da capo al fine. Lekcja jest, oczywiście, krótsza o to całe przebieganie.

Szatnia szkolna jest osobnym rozdziałem. Nie zwiedzałam. Zacytuję fragment protokołu bhp: „Punkt 2. Ograniczyć czas pracy wykonywanej przez tę samą osobę w pomieszczeniach szatni do dwóch godzin w ciągu doby. Uzasadnienie: Szatnia mieści się w piwnicy budynku frontowego. Poziom podłogi piwnicy znajduje się na głębokości około 2 metrów poniżej poziomu otaczającego terenu. Zarówno pomieszczenia szatni sąsiedniej o powierzchni ok. 80 m kw. jak i przedsiłonek pozbawione są prawie całkowicie światła naturalnego i wentylacji (...). W okresie zimowym skraplająca się na przebiegających pod powłok rurach instalacji wodnych, para, powoduje zalewanie podłóg (...). Z szatni korzysta około 600 uczniów (dane z ub. roku szkolnego — TW), przy czym wielu z nich korzysta dwukrot-

nie w ciągu dnia, przychodząc w godzinach popołudniowych na lekcje.

Fragmentem tego protokołu posłużę się również do opisanego stanu sanitarnego w szkole.

W odniesieniu do węzłów higieniczno-sanitarnych ich ilość jest niewystarczająca w stosunku do potrzeb. Łączna ilość miejsc ustępowych jakie posiadają szkoły wynosi 14, a ilość pisuarów 3 (...). Jeszcze bardziej niepokojąco przedstawia się sprawa umywalni, z których większość jest usytuowana w ubikacjach. Ich liczba wynosi 15 (w tym 6 umywalk znajdujących się obok sali gimnastycznej na parterze budynku, w głębi podwórza).

Jedną z największych tajemnic tego gmachu jest, jak wytrzymało ono to ogromne obciążenie, ten ruch, te wszystkie przeróbki, adaptacje i przebudowy. Nie najlepiej wytrzymało. W 1963 r. przeprowadzono tu remont, podczas którego m. in. wymieniono stropy w pięciu salach, w trzech założono podłogi stalowe, w 24 wymieniono podłogi. Sygnałem alarmowym była nowina, że noga jednego z fortepianów przebiła podłogę. 5 maja ub. r. przeprowadzono w szkole kontrolę bhp. Jej fragmenty zacytowałam wyżej. Protokół zawierał 47 punktów. Pierwszy z nich głosił: „Wystąpił w oparciu o niniejsze zarządzenie do właściwych instytucji w sprawie przyspieszenia realizacji projektu budowy nowego obiektu szkolnego. O wynikach wystąpienia powiadomi Inspektora Pracy”.

Nowy budynek szkolny (ten którego jeszcze nie ma) ma też swoją historię, niewiele krótszą niż sama szkoła. Dyrektor Andrzej Hundziak kieruje szkołami od 1956 r. Został tu już zaawansowane plany budowy nowego gmachu, zlokalizowanego u zbiegu ul. Wojska Polskiego i Franciszkańskiej. Projekt ten został odrzucony. Następny... Mniejsza o to. Obecnie kolejny nowy projekt opracowywany jest przez Miastoprojekt Łódź w zespole inż. Kardaszewskiego. Lokalizacja: róg ul. Sosnowej i Szczecińskiej. Czy to projekt kolejny, czy też ostatni?

Opuszczam mury starego gmaszyska, chyba nie poznawszy jego tajemnic do końca. Dźwięki fortepianu mieszają się z dźwiękami puzonu, dźwięki skrzypiec z dźwiękami klarnetu. Z wąskiego drugiego podwórza studni, kamiennego, nieprzychylnego dzieciom, dobiegają odłosy życia kamienicy, normalne hałasy każdego podwórza, nienormalne tylko tutaj.

PS.
Z prasy: W Warszawie, na osiedlu Praga II wybudowano gmach Szkoły Muzycznej im. Chopina w ciągu 15 miesięcy.

AFRYKA warowna

W okresie od roku 1482 do 1787 biali kolonizatorzy pozostawili po sobie 41 fortów wzdłuż całego Złotego Wybrzeża, czyli wzdłuż wybrzeża obecnej Ghany. Forty te, lokowane na samym brzegu, jeżeli był skalisty i niedostępny, albo paręset metrów od niego.

Jako materiału budulcowego używano przeważnie białego kamienia, dość miękkiego, stosunkowo łatwo poddającego się działaniu fal i deszczów. Każdy fort otoczony był ogromnym murem obronnym, gęsto ponacinanym u góry otworami strzelniczymi, w których do dziś stoją jeszcze różnego rodzaju i kalibru działa. Wyloty ich luf, nadzarznięte wilgocią i rozpylone w powie trzu solą, zwrócone są, jak kiedyś w stronę oceanu przez ciwko tym, którzy jako konkurenci mogli nadpłynąć z dalekich krajów. Część z tych dział zwrócona jest także w różne strony w kierunku lądu przeciwno tym, którzy mogli się zbuntować. Większość fortów otoczona była fosami, w których przewalała się z hukiem woda z oceanu. Mostów zwodzonych dzisiaj nikt już nie podnosi — leżą opuszczone na stałe.

Część z tych zamków rozsypana się już dawno — pozostały po nich resztki. Część jednak jest w doskonałym stanie i te służą dzisiaj już całkiem innym celom. Przerobiono je na muzea, albo na koszary dla wojska lub policji. W wielu miejscach, oprócz głównych fortów, w najbliższym ich sąsiedztwie, wznoszone jeszcze kilka mniejszych, pomocniczych obiektów tego typu. Nazwy niektórych fortów zmieniono, ale większość z nich nie uległa zmianie i mówi sama za siebie: Ruyghaver, Groot Fredericksburg, Christiansborg, Amsterdams, Saint James, Creveceur.

Elmina jest obecnie sporym miasteczkiem. Jak każde miasto afrykańskie jest mieszaniną niedzi i bogactwa. Obok ulepiionych z gliny chałup, w których nie ma drzwi ani okien, tylko otwory zasłonięte brudnymi szmatami, stoją wygodne wille różnych „bigmanów” z klimatyzacją w środku i najnowocześniejszymi samochodami na zewnątrz. Jezd nie ulic są idealnie asfaltowane, z głębokimi, prostokątnymi rynsztokami po bokach, ale chodników nie ma. Chodzi się po gołej ziemi. W mie-

ście pełno jest sklepów różnego rodzaju, jak zwykle w rejonach Libańczyków i Syryjczyków.

Elmina leży na samym wybrzeżu. Jeżeli jedzie się do niej z Akry, to trzeba zjechać z głównej szosy, która biegnie wzdłuż całego wybrzeża Ghany, i skierować się węższą szosą w lewo, nieco w dół. Po przejechaniu przez całe miasteczko jedna z ulic wyjeżdża się wprost na wybrzeże i fort. Ale zanim jeszcze dojeżdża się do samego fortu, paręset metrów przed nim, na kilkudziesięciometrowej górze widać wielki warowny zamek. Był on siedzibą wielu gubernatorów, którzy stąd sprawowali władzę nad krajem. Do zamku prowadzi wąska, kamiennista i fatalnie spadająca droga. Z trudem można nią wjechać samochodem ale bez obciążenia i pierwszym biegiem. Zamek przekształcono w muzeum. Są w nim różne rodzaje broni, modele żaglowców, jakieś stare dokumenty, oraz kilka wmurowanych tablic pamiątkowych, mówiących kiedy i kto tutaj rezydował i sprawował władzę i jakie temu towarzyszyły wypadki.

W dół, nieco w lewo, biegnie mury fortu Saint George. Jeszcze dalej w lewo jest piękna, głęboko w ląd wciętą zatoka z ogromną plażą oddzieloną od lądu zielonym łukiem palm kokosowych. Na plaży, wyciągnięte z wody, leżą czarne wąskie kadłuby łodzi rybackich wykonanych z jednego pnia.

Poza tym widać całe miasto. Daleko, na północy, lśni szosa biegnąca wzdłuż wybrzeża. Jeszcze dalej, ze wszystkich stron, nie kończące się la sy. Po karkołomnej łądzie w dół, natrafia się prosto na parking przed zwodzonym mostem fortu.

Fort Saint George w Elminie zbudowany został w roku 1482 przez Portugalczyków. W roku 1637 został wzięty przez Holendrów, którzy znaczenie go poszerzyli i wzniesli wokół szereg fortów pomocniczych: Conraadsburg, de Veer, Scomar, Java, Naaglas i Batenstein. Całość została wykupiona przez Anglików w roku 1872.

Fort zbudowany jest na skałach. Od strony oceanu obejść się nie daje. Woda z hukiem rozbija się o głązy, podnosi się coraz wyżej i wyżej, żeby za chwilę opadać, zdawałoby się w nieskończoność, odsłania-

jąc ściany skalne z wżepionymi w nie skorupiakami, ślimakami i roślinołami. W rozpadlinach skalnych, podchodzących pod fort, huczy, wrze i cmoka. Bryzgi białej piany wylatują aż na górę. Wszędzie wilgotne tumany stonęgo pyłu.

Fort zamieniony został na koszary policji, ale można go zwiedzać. W środku kwadratowy rozległy dziedziniec. Naokoło kilkumetrowej grubości mury. Wokół murów dwie galerie: pierwsze i drugie piętro. Po galeriach można chodzić i patrzeć w dół, na dziedziniec. Wzdłuż galerii szereg drzwi. Drzwi prowadzą obecnie do pokoi; dawniej były to przeważnie cele więzienne. Niektóre zachowano w stanie nie zmienionym. Wąski kamienny grób. Okien nie było. Zamiast tego szczelina w parometrowej grubości murze, zwożająca się w kierunku na zewnątrz. Ostatecznie kończyła się szparą długości około pół metra i szerokości 3-4 centymetrów. To był skrawek nieba przydzielony do oglądania. Były jeszcze i inne cele. Do tych schodziło się w podziemia. Okresowo zalewał je przypływ. Wieźni, jeżeli trzy mał twarz do góry, mógł jeszcze oddychać. Ale jeśli zdarzył się przypływ nieco większy, następnego już nie oglądał. W jednej z cel można było bacznie narządza tortur, jakich próbowano na niewolnikach.

Kiedyś, już dawno, na dziedzińcu stał zbity tłum ludzi na sprzedaż. Tu odbywały się targi; pokazywano i zachwalano siłę meczczy i urodę kobiet. Sprzedawca, szef imprezy, główny handlarz, nie lubił, żeby go widziano i żeby go kiedykolwiek rozpoznano. Miał swoje „służbowe” miejsce. Zbudowano je prawdopodobnie już w okresie, kiedy handel niewolnikami stał się zajęciem ryzykownym. Wechodzą do niego gdzieś od tyłu, od strony flank, nie od dziedzińca. Na dziedziniec nie było drzwi, tylko mały okraj otwór w murze taki, że można było przecisnąć rękę. Można było też przez niego patrzeć. Kiedy targ został ubity, sprzedawca wyciągał rękę przez ten otwór i przyjmował ustaloną sumę pieniędzy.

W jednym z rogów dziedzińca znajduje się jakby wielka kwadratowa kłapa zrobiona z grubych ball ujętych żelaznymi okuciami i umocowana na zawiasach. Jeżeli się ją otworzy, nie nie widać — absolutna ciemność. Nie pomaga światło latarki elektrycznej. Ale jeżeli pochylić się nisko, słychać gdzieś daleko w dole głuchy, rosnący i cichy szum wody. Tutaj wrzucano niewolników. Zabitych, albo zagłodzonych, albo zmierzających na kaś choroby, albo nieposłusznych. Jest tam w dole jakieś połączenie wprost z oceanem. Woda dopływa różnymi szczelinami i wrzucony trup po-

powinny czasie wypływał na zewnątrz, gdzie robili z niego porządek rekiny. Wszystko od bywało się cicho i sprawnie.

Obecna Elmina jeszcze jedyna ma twarz. Wyjeżdżając z miasta na północ, w głąb lądu, dojeżdża się do głównej szosy i niemal w tym samym miejscu, za szosą, dalej na północ ciągnie się kłeska, nie asfaltowana droga przez busz. Na samym początku tej drogi stoi tablica: „Wjazd wzbro-niony”. Po przejechaniu około trzech kilometrów dojeżdża się do dziwnego miejsca: ogrodzony teren, na którym widnieć jakieś baraki. Poza tym alejki, klombki, kwiaty. Na zamkniętej bramie wjazdowej tablica informacyjna, z której wynika, że proszą się o nierobienie zdjęć itd., itd., ponieważ teren ten zamieszkały jest przez trędowatych. Lepro-zorium.

Trąd był kiedyś jedna z plag Afryki. Obecnie wypadków trądu jest znacznie mniej. Na ulicach miast, w Akrze, w Kumasi, można spotkać bardzo często żebraków — kaleki. Mają amputowane stopy, dłonie, albo całe ręce i nogi. To są trędowaci. Już zaleceniem i nie należy wchodzić do otoczenia. Uważa się w zasadzie, że bardzo trudno jest zarazić się trądem. Prowadzi do tego bezpośredni i długi kontakt z chorym. Okres inkubacji choroby wynosi od 5 do 20 lat. Przebieg może być różny, ponieważ dużo jest rodzajów trądu. Zaczyna się

przeważnie od ułokowania się zarazków na skórze: lekka gorączka i mała niepozorna plamka. Potem plamka zniknie, choroba przesuwa się w głąb. Objawami najczęściej zdarzającymi się w Ghanie było stopniowe porażenie nerwów i zanik kości powodowany ciągle postępującym odpowianiem. Zaczyna się to od stóp i dłoni. Na rentgenogramie widać jak kości palców u rąk i nóg zwięzają się stopniowo, aż kończą się zupełnie piórkowato. Zaczyna się łamliwość. Po złamaniu nie ma co składać — trzeba amputować. Ale proces posuwa się dalej i trzeba amputować coraz wyżej. Podobnie może być z żebrami.

W Ghanie było około 3.000 ciężkich, nieuleczalnych przypadków trądu. Około 15 tysięcy ludzi objętych było przymusowym leczeniem. Ale całkowita ilość chorych na trąd szacowała się na około 90 tysięcy. W te ilości włączono i tych, którzy już przebyli kurację. A włącza się ich dlatego, że całkowite wyleczenie z trądu, tak samo jak z gruźlicy, jest właściwie problematyczne.

Głównym lekarzem w lepro-zorium jest Anglik, lat około 50, o sympatycznym, trochę zmęczonym wyrazie twarzy. Trądem zajmuje się już dawno: od ośmiu lat pracuje w Ghanie, a przedtem piętnaście lat pracował na Malajach. Ciężko chory leży w barakach. Uważa się, że nie są zaraźliwi. W każdym baraku po 24 łóżka. Jest duszno i gorąco. Leżą niczym nie przykryci, tylko w szortach. Niektórzy po różnych amputacjach. Nie mogą się ruszać z powodu porażenia nerwów ruchowych. U wielu nastąpiły deformacje nie tylko kości, ale i mięśni, co znacznie bardziej widać. Pod skórą, różnego kształtu mniejsze i większe guzy. Noga pod dotknięciem palców robi wrażenie twardego, sekatego pnia. Skóra napięta i błyszcząca. Cierpieli strasznie, gdyby nie szczęśliwy fakt, że mają porażone i nerwy czuciowe. Ktoś jednak od czasu do czasu cicho łezczy. Na ogół kamienista cisza. Nie ma żadnych rozmów. Patrzy tylko wszyscy jakimś dziwnym, prze-razonym wzrokiem. Nie wiedzą, że będą mogli wrócić jeszcze między żywych, ale chcą liby chociaż od kogokolwiek usłyszeć zaprzeczenie swojej niewiary. W każdym wchodzącym chce widzieć kogoś, kto ich uratuje.

Na ostatnim łóżku leży stary człowiek bez nogi, przykryty kocem. Wygląda, jakby spał. Za parę tygodni umrze — nie chciał poddać się żadnemu leczeniu. Przy samym wejściu oddzielny pokój, separata. Leży śliczna dziewczyna. Ma 17 lat, córka jakiegoś dostojnika plemiennego. Leży cicho, na powitanie nie odpowiada, tylko znów ten obledny, zwierzęcy strach w wielkich, czarnych oczach. Nad lewą brwią, na czarnej skórze, nieduża, szara, trochę chropowata plamka. Ona ma jednak szansę. To dopiero początek.

Przez otwartą szeroko bramę wracamy w świat ludzi żywych.



Lewym
okiem

MYŚLENIE NIE MA PRZYSZŁOŚCI

Myślenie ma kolosalną przyszłość — wołali warszawscy studenci w okresie październikowego entuzjazmu. Pomyśl dwa razy, zanim coś zrobisz — mówiło stare przysłowie. Myślę, więc jestem — podsumowywał swoje zawile wywody filozof.

Stare, dobre czasy! Nawet paradoks Wilde'a: myśl jest straszną chorobą i ludzie na to umierają — wywodził się przecież z głębokiego ukorzenia się przed potęgą myśli, podnosił człowieka myślącego do rangi bohatera, męczennika. Cóż nam z tego zostaje dzisiaj, nam — „fajogłowym”, „mieczakom”, „klerkom”, inteligentom?

Dziecinna — chciałoby się powiedzieć — radość z przewracania wszystkiego co jest, aż do ostatniego klocka, sprawia, że nie ostaje się przed prze-nicowaniem żadna, ale to żadna wartość. Trzeba było przecieć ogromnego wysiłku myśli, genialnych wręcz koncepcji, żeby skonstruować „myślące” maszyny. I oto jeden z teoretyków tej zupełnie ezoterycznej branży, Alfred North

Whitehead, ogłasza (cytuje za „Kulturą” z 29 stycznia):

„Jest głęboko mylnym truizmem, powtarzanym zarówno w podręcznikach szkolnych jak w przemówieniach ludzi znakomitych, że powinniśmy kultuować zwyczaj myślenia o tym co robimy. Rzecz ma się w istocie kłóćco inaczej. Cywilizacja czyni postępy rozszerzając liczbę operacji, które można wykonywać nie myśląc. Operacje myślowe są jak szarże kawaleryjskie w bitwie: ściśle ograniczone w liczbie, wymagają świeżych koni i powinny być wykonywane tylko w momentach decydujących”.

Nie powinniśmy więc myśleć o tym, co robimy. Coraz więcej powinno być czynności bezmyślnych, najlepiej żeby zostały wyłącznie takie. Nie ma kolosalnej przyszłości dla myślenia. Może jest przyszłość dla maszyn, choć one też — jak już dojdą do naszego dzisiejszego poziomu samowiedzy — ograniczą działanie odpowiednich koncepcyjnych, kojarzących cewek i sprzętów, a zaczną po prostu — znów tak jak chce Whitehead — funkcjonować. To śmieszne, ale przypomina mi się dowcip Stonimskiego sprzed trzydziestu lat, skoro w Ameryce wszystko się automatyzuje, samochody produkują się same, jeżdżą same — to wymyślił jeszcze sposób, żeby się same rozbiły, i wyprawdzą się z Ameryki...

Pamiętam popularną w swoim czasie — dawno już — książkę Dimnet'a: „Sztuka myślenia”. Dimnet nie wyobrażał sobie jeszcze żadnych cybernetyk, ale też zalecał, aby możliwie dużo najprostszych, elementarnych czynności doprowa-

dzić po prostu do odruchów. Kiedy dają mi numerki w szatni albo bilety w teatrze, wkładam go zawsze do prawej bocznej kieszeni marynarki, przez moment o tym nie myśląc. Tak samo bez rozterki myślowej i bez paniki, bezmyślnie, sięgam po ten numerki i znajduję go. No dobrze, ale to są drobniaki, należące do kategorii organizacji pracy, teraz zaś ukazuje nam się perspektywę ograniczenia w ogóle myślenia do rzadkich „szarż kawaleryjskich”, trzymaniu tych naszych Pegazów w stanie świątecznym i nieużywaniu, dopóki nie nadejdzie „moment decydujący”.

Skoro zakłada się rozwój cybernetycznej „pomocy domowej”, to być może, że takie będą konsekwencje: przestaniemy myśleć na co dzień. Tak jak przestaliśmy na co dzień cerować skarpetki. Siedzący w telewizor. Pozwólmy się uczyć przez sen, wzruszać przy pomocy tabletek, abawać na jawie jachowcem od rozrywki, absolutnie znużeni najbardziej perfidnym dreszczowcem, setkami podkaszanych Bardofek na ulicach, końską czaszką obwieszoną dzwonekami zamiast rzeźby, rozdarta ścierką zamiast obrazu, belkotem zamiast poezji. Zresztą — żeby odróżnić poezję od belkotu, żeby belkot uznać za belkot, już by trzeba pomyśleć. Szkoda koni. To przecieć jeszcze nie szarża, nie moment decydujący. Prrr, Pegazy! Drzemcie sobie spokojnie, ze zwieszonymi łbami i ogonami, drzemcie; tylko niepoprawnego pesymistę może nawiedzić obawa, że zeszakawanie przedziwniejsze niż się ktoś spozstrzeże, że do szarży będziemy siłą ciagnąć za pyski stare smutne walachy, które już żadnej przeszkody nie wezmą.

CWIEK